

ŻYCIE I PRZYPADKI
FAUSTYNA FELIXA NA DODOSZACH
DODOSIŃSKIEGO

przez

FRYD. HR. SKARBKA.



TOM II.

W WROCŁAWIU,
NAKŁADEM ZYGMUNTA SCHLETTERA.
1840.

ŻYCIE I PRZYPADKI

WŁADYSLAWA BODOSZKOWICZA



BODOSZKOWICZ

1840

W WROCLAWIE

Tom II

W WROCLAWIE

WYDAWCA: WYDZIAŁ HISTORII I FILOLOGII

1840

R O Z D Z I A Ł I.

X i q d z.

Nasz bohater znikł nam tedy w lesie, jak to P. subdelegat przewidział i wcale nie przyjechał do kościoła. Zostawmy Pannę Młodą, rodziców, teścia, świekrę, i całą gawieź weselną, oczekujących długo na niego; a potem wystawmy ich sobie szukających go troskliwie po wszystkich zaspach i opłotkach, czyli gdzie w śniegu nie uwiązł. Dodajmy do tego dla wiadomości naszych czytelników, iż wszelkie ich starania były próżne, że długo nikt o Faustynku nie usłyszał, że w okolicy rozmaite wieści o jego zniknięciu chodziły, które się wszystkie na tém kończyły zdaniem: że przepadł jakby kamień w wodę wrzucił.

Czytelnik nie dzieli tego zdania zapewne, bo wie dobrze o tém, iżby to w tym razie osta-

tnia karta tój wiernój biografii jego być musiała. Jakkolwiekby autor chciał go ukryć przed nim i od końca resztę historyi jego zacząć, zawszeby ostatecznie wszystko wyjaśnić musiał. Bo luboby go w końcu zawodu trudno było poznać, każdyby się domyślił, że nieznamy na scenę wyprowadzony nie kim innym, jak naszym Faustynkiem być musi. Dlatego puśćmy się w pogoń za nim, i zobaczymy, co się z nim działo w całym przeciągu czasu, przez który zupełnie dla swoich był straconym.

Przypuśćmy, iż po tój zimie, która w poprzednim rozdziale panowała, upłynęło kilka miesięcy. Z okolic Łowicza przenieśmy się o mil blisko dwadzieścia, i wystawmy sobie starożytny kościół na górze, wśród otwartego pola, a obok niego obszerny klasztor OO. Bernardynów. Przede drzwiami wchodowemi stoi ławka drewniana, dla odpoczynku dziadów kościelnych przeznaczona, zajęta właśnie przez starca poważnej postaci w ciemnym opiętym żupanie, z cyfrą kościelną na lewej piersi, czerwonym suknem wyszytą, przepasanego czaraym rzemiennym pasem. Siedzi on schyłony, ręce oparte na kolanach; rzadkim włosem bielącej się głowy i długą siwą brodą powiewa niekiedy miły wietrzyk, przy popołudniowym upale starca krzepiący. Mówi on właśnie z młodym człowiekiem w klasztornym ubiorze, z włosami równo i krótko obciętemi, przepasanym ogórkami, bez tonzury jeszcze, snąc godność braciszka dopiero piastującym, który z

powodu następującej nazajutrz niedzieli zajęty jest poziomą posługą, to jest zmiataniem sieni i ugrabianiem dziedzińca, aby przystęp do klasztoru przyjemniejszym uczynić. Po opartej na ławie miotle obok starca widać, że i on był tą samą czynnością zajęty, i że dla znużenia spoczynku teraz używa. Od dawna toczyła się rozmowa, lecz starzec mówił właśnie do młodego braciszka: A cóż wam to za krzywda teraz? Macie jeść i pić podostatkiem, roboty niewiele, tę trochę posługi kościelnej, toć ja już stary a jeszcze niejedno zrobię i nie narzekam nigdy, chociaż mi nie roskosz.

— Tak, ale kiedy człowiekowi lepiej było dawniej, kiedy i nic nie robił i opływał we wszystko, jak ponczek w maśle?

— A cóż to! czy myślicie, że ja zawsze byłem dziadem kościelnym? Oj nie, nie z jednym ja pieca chleb jadał, niemało kraju zwiedził, nie jednemu panu służył, a co lepsza, nie z jednym Bisurmanem szablę swoje mierzył.

— Ji, szabli ja nie żałuję, bo mi to wszystko jedno, czy ona wisi przy boku czy nie, i w tym habicie tak mi dobrze jak dawniej w kontuszu, ale żałuję mojej fortuny, mojej żony. . . .

Szybko zwrócił oczy na mówiącego starzec i zawołał: Jakto żony? Albożście to już żonaci? a czemuż nie wóvicie o tém Ojcom? Toćby was na księdza nie kierowali, a oni chcą was pono wzięść do nowicyatu za parę miesięcy. Mówcież prawdę, czy macie żonę?

— Kiedy mówię, że żałuję mojej żony, to znać, że jej nie mam.

— Toście już wdowcem. Mój Boże! tak za młodu jeszcze.

— Ej zaś wdowcem, kiedym się jeszcze z moją żoną nie ożenił.

— Człowieku, co ty gadasz? Dobrze mówili, widzę, żeś niespełna rozumu.

Oj nie wspominajcie mi tych . . . bo zaknę, choć się to nie godzi. *Niespełna rozumu!* Takci mi Ojciec gwardyan mówi, kiedy go proszę, żeby mnie odesłał do moich pod Sochaczew, gdzie mój ojciec ma fortunę, zkąd mnie, nie wiem, lichy czy złe duchy aż tutaj przynieśli. Jak mu to mówię, to się tylko śmieje i patrzy mi w oczy, jakbym ja plotł nie do rzeczy. Jeżeli tego dłużej będzie, to człowiek do prawdy oszaleje.

No, ale cożeście mi teraz właśnie mówili o waszej żonie, z którąście się nie ożenili.

Cóż w tym dziwnego? Czyż, kiedy człowiekowi powiedzą, tak jak mnie od małego: „Aniela będzie twoją żoną;“ kiedy sąsiady pojedą na swaty i potem człowiek się z nią zaręczy; kiedy, co lepiej jeszcze, zjadą się wszyscy na wesele i goście i kapela, i kiedy człowiek wystroi się w suknie nowiuteńkie i wianek z białą wstążką przypnie mu druchna do boku, i kiedy usłyszy już sygnarek na *Veni creator* przed ślubem, i cóż? mówcież, czy człowiek nie może sobie wtedy powiedzieć, że ma żonę?

— A czemużście tedy nie wzięli ślubu?

— A dla tego, że tu musiał jechać.

— A to poco?

— Toćbym ja to chciał wiedzieć i nad tem sobie próżno głowę suszę, poco?

— Ale mój bracie, toć przecież musicie wiedzieć, kto was tu przywiózł i jakieście tu przyjechali?

— A gdybym ci wiedział, tobym sobie głowy nie suszył.

— Jakżeż to być może?

— Zwyczajnie, czyście to nigdy nie słyszeli o oczarowaniu, o orzeczeniu (tu się obejrzał na wszystkie strony mówiący i rzekł ciszej) o djable?

— A przeciężes, mój bracie, nie opętany, rzekł szybko starzec bystro patrząc na niego i poruszając się, jakby się chciał oddalić.

— Ji zaś, miałbym być opętany, siedźcie spokojnie, nie bójcie się niczego. Mówię wam, że mi któraś zadała, i cała rzecz; a ja muszę albo spać teraz jak ten, coto sto lat przeżył a myślał, że tylko jedną noc przespał i różne miał dziwne sny przez ten czas, albo téż jestem zaklęty na czas, albo sam już niewiem, co mam mówić.

— Toć przecie gadacie, jecie, pijecie, tak jak ja i każdy drugi, więc nie śpicie, ani was nikt nie zaklął; ale wam mogli zadać jakoś, żebyście odstąpili od waszej przyszłej żony. Czekaścieno: Nie był tam jaki zazdrosny, któryby

chciał był się żenić z waszą? Jakżeście ją nazywali?

— Aniela.

— Tak, Aniela. No, to on może chcąc was się pozbyć. . . .

— Ji gdzie tam. Nie było nikogo zadrośnego. Aniela była dobra dziewczyna i nikogo-by nie była słuchała. Chodziłcito koło niej jeden młody panicz, syn starosty, ale to, jak to wiecie, zwyczajnie jak panicz, a potem zupełnie o niej zapomniał i na mnie był tak łaskaw, że mi przysłał własne sanie z tęgą parą koni — bom u niego był dawniej za dworskiego — ażebym miał czém suto jechać do kościoła. Ale to też to właśnie te konie szalone mnie uniosły.

— A widzicie, że to tego starościca sprawa być musi, kiedy jego konie was tu przywiozły.

— Ji gdzie tam, wcale nie tak. Jam przecie wsiadł do paradnych sanek z *murzynkiem* z *czerwoną czapką*, przed dworkiem ojca Anieli; do sanek, które para tęgich siwych ogierów ciągnęła, dzwoniąc mnogiemi dworkami na łbach i na całym zaprzęgu pozawieszanemi że aż się rozlegało po całej okolicy; a zajechałem tutaj w wasażku, na prostych saniach osadzonym, w jednego konia, którego żyd jakiś niemilosiernie poganiał, aby mnie tutaj dowiózł.

— Toć musicie wiedzieć, zkąd ten żyd był?

— A wiem; z ostatniej karczmy na trakcie,

oto z tej, widzicie! tam na lewo! co tak sama daleko ode wsi stoi.

— A do tejże karczmy jakeście się dostali?

— Ale powiadam wam, że nie wiem; jednak co spamiętam, to powiem. Oto tak. Gdyśmy tedy zabrali się w drogę do kościoła na ślub, wsiadło ze mną do owych paradnych sani dwóch dworzan Pana starościca. Zawierucha była okrutna, że światu widać nie było. Jechaliśmy z razu żwawo, tak że wszystkie inne sanie w tyle zostały, ale bez żadnego przypadku. Aż tu ni z tego ni z owego przysły moje konie w bok, woźnica ciągnął lejce co siły na prawo, a te koniecznie na lewo, i to w takim pędzie, że ani wyskoczyć, ani można było myśleć o zatrzymaniu. Jam wołał co siły, że nie tędy droga do kościoła, potem na konie krzychałem Prr! Prr! A gdzietam, nic nie pomogło. Na ostatek po dobrej godzinie jazdy, Bóg wie gdzie i tak i sak, przecież zmęczyły się aż piana z nich ciekła i dały się zatrzymać przed jakąś karczemką. Ha, trzeba było stanąć; bo raz że koniom trzeba było dać wytchnąć, drugi raz, że nikt drogi napowrot nie wiedział. Wysiedliśmy tedy i wypytawszy się żyda, którędyby do naszej parafii nazad jechać trzeba było, zasiedliśmy sobie za stołem, tak właśnie jakby nikt na nas u drzwi kościoła nie czekał. Ale cóż było robić, kiedy konie były okrutnie zmachane a my poziebli. Jeden z dworzan starościca kazał zagrzać kwartę piwa, a czekając na nie wypił do mnie wódki,

a ja do drugiego i to razy kilka, bo zwyczajnie trzeba się było rozgrzać. Jakem potem wypił gorącego piwa, tak mię to trochę rozmarzyło; ale byłem zdrow i wesół, i nawet dotrzymałem im jeszcze kolei, póki konie siana nie zjadły. Raptem ni z tego ni z owego, zapomniałem o wszystkim, zaćmiło mi się w oczach i zdaje mi się iż usnąłem. Musiałem spać mocno, kiedym się dopiero z tęgim mrokiem obudził. — A gdzież myto jesteśmy? zapytałem moich towarzyszków. W karczmie, odpowiedzieli. Czyż nie widzisz? Zaspaliśmy, bracie; noe nastala, trudno będzie dalej jechać; trzeba tu będzie zanocować, a jutro równo ze dniem ruszymy nazad. Czy tak czy sak, toć już dziś twego ślubu nie będzie. — To była wielka prawda, bo go jeszcze do dziś dnia nie było. Cóż było robić? Zostaliśmy tedy, a mnie się tak w głowie od tej wódki przewróciło, żem ani karczmy ani żyda nie poznał i że mi się koniecznie zdawało, jakobym był przez ten czas kiedym spał na ławie, Bóg wie ile mil ujechał i upierałem się do ostatniego, że ten żyd, który nam wprzód wódkę nalewał, miał czarną brodę, kiedy ten, co stał przede mną, miał czerwoną. Poszli moi towarzysze w zakład ze mną, pytali się żyda o nazwisko wsi, o odległość naszej parafii; wszystko się zgadzało. Więc przegrałem zakład i stawiłem przed nimi kwartę wódki. Jakże nie pić do nich, zwłaszcza że mi się pić chciało. Ale to tak zawsze z tymi dworskimi; trudno z nimi utrzymać mia-

ry i spałem się wtedy, ale tak żem o świecie nie wiedział. Po niewiem jak długiej chwili, przebudzam się trochę; widzę wielki dzień na dworze. Zrywam się z dobrego posłania z słomy, wołam po imieniu na moich towarzyszków podróży; gdzie tam, niema żadnego. Wypadam przed sień do stajni, nie ma ani sani ani koni. A niecnoty, pomyślałem sobie, figła mi wyplatali i odjechali mię. Wracam do karczmy, znowu inny żyd od poprzedzających. Pytam się o naszą parafiją, o wsie po trakcie, dalej o Sochaczew, o Łowicz... gdzie tam, nikt nic nie wie, wszyscy jak w rogu. Nakoniec brakło mi cierpliwości, zacząłem wymyślać i grozić kijem, jeżeli mi drogi przynajmniej do Sochaczewa nie pokażą. Żyd wypadł z izby, przywołał ze stajni chłopów popasających na pomoc, ci mnie wzięli za opętanego, związali mnie, włożyli na wasung, i oto wraz z żydem odwieźli do tego klasztoru, gdzie karczmarz śmiał powtórzyć to, co się chłopom zdawało, i gdzie mnie przyjęli z miłosierdzia, potem do usług klasztornych użyli i na ostatek Braciszkiem zrobili. Ale nigdy niechęcią wierzyć temu wszystkiemu, com ja wam teraz powiedział, ani żebym miał być z tak dalekich stron, jak powiadam. —

— Uśmiechnął się starzec przy końcu tej powieści, kiwnął kilka razy głową i rzekł: I ty nie wiesz, nieboraku, jakieś się tu dostał i kto ciebie tu wprowadził?

— Albo co? zapytał zadziwiony Dodosiński. Bo on był oczywiście tym braciszkiem.

Chciał mu odpowiedzieć staruszek, lecz w tém wyszedł z klasztoru ksiądz Gwardyan i przerwał ich rozmowę, która się już dnia tego i następnego dla różnych przeszkód skończyć nie mogła.

Miłosierdzie pobożnych mieszkańców okolicy, którzy się w niedzielę do kościoła zgromadzili, przysposobiło dziadom kościelnym dostateczny fundusz do poniedziałkowej biesiady, tak iż po południu jedni w śnie utraconej przytomności szukali, a drudzy podobni do lunatyków chodzili tu i owdzie bez żadnego celu, wszędzie zamało miejsca dla siebie znajdując. Nasz braciszek Dodosiński dnia tego więcej jak zazwyczaj miał do czynienia, bo poprzysiągłszy sobie, iż nigdy nie będzie pił wódki, od czasu że go nią oczarowano, nie należał do poniedziałkujących i za wszystkich roboty wykonywać musiał. Znudzony bardziej jak kiedykolwiek nowym sposobem życia powziął myśl śmiałą, i niezwłocznie do wykonania onéjże przystąpił. Gdy większa część mieszkańców klasztoru dla upału w celach zamkniętą lub snu oddaną była, wyszedł Dodosiński z korytarza klasztornego na palcach trzymając w ręku sandały i oglądał się na wszystkie strony, czy go kto nie widzi i nie goni; przeszedł włożywszy sandały ostrożnie przez dziedziniec klasztorny, przemykając się chyłkiem pod oknami; wymknął się ze strachem za furtę i

szybkim krokiem puścił się ścieżką, która do drogi ponad górą idącej prowadziła, i tam dopiero zatrzymał się i na wszystkie strony oglądać się zaczął.

Ta jego ostrożność była wcale niepotrzebna. Bo cóż w tém mogło być podejrzanego, że on wśród dnia nie unosząc nawet nic wcale z sobą, za bramę klasztorną na drogę wychodził? Tyle razy to już był bez żadnej obawy i przeszkody uczynił, a teraz postępował ostrożnie i z bijącym sercem, właśnie jak gdyby kto z jego twarzy mógł wyczytać, że ma zamiar dokonania ucieczki. Tak dalece to jest prawdą, że człowiek złym zamiarem zajęty w sumieniu własnem tysiące poniekąd świadków widzi, i że rozumie, że każdemu to musi być jawnem, co się w głębi umysłu jego dzieje. Trzeba to długiego brojenia i wielkiej wprawy w przewrotności, ażeby nie ulegać podobnej słabości i z otwartem czołem śmiało między tymi postępować, przed którymi złe zamiary ukryć chcemy. Znać, że nasz bohater nie był złym człowiekiem, lubo go natura wielkimi przymiotami duszy nie obdarzyła. Bo i teraz postanowił wykonać zamiar nie obrachowawszy wprzód ani sposobów, któremiby go mógł dokonać, ani skutków z niego wypłynąć mających. Tęsknota wzbudziła chęć wrócenia do swoich, a że ucieczka była środkiem dokonania tego zamiaru, dlatego uciekł bez dalszego namysłu.

Lecz gdy stanął nad drogą i spojrział z góry na rozległe doliny, które miał przed sobą, a najdalej nawet, gdzie tylko mógł sięgnąć okiem,

nie podobnego do ojezystej zagrody nie widział; nastroczyło mu się dopiero to tak proste dostrzeżenie: że daleką ma podróż przed sobą, a do niej zdrowe wprowadzie nogi ale ani szeląga na posiłek dla zdrowszego jeszcze żołądka. Spojrzał po sobie i wspomniął dopiero na to, że ubiór jego nie bardzo dalekiej wędrówce sprzyja, bo miał uchodzić za to, czém nie był wcale. Inny na jego miejscu byłby w tém znalazł pomoc w wykonaniu trudnego zamiaru, przybierając postać kwestarza, który wszędzie gościnne przyjęcie znaleźć może. Lecz do tego trzeba było umieć kłamać i udawać, a nasz Faustynek równie do tego, jako i do wszystkiego innego, żadnej nie miał zdatności. Dla niego trzeba było koniecznie zewnętrznej siły, któraby mu pochop dała, aby go naprzód lub wstecz posunąć, teraz zaś był pierwszy raz w życiu sam sobie zostawiony, dlatego też ani kroku naprzód uczynić nie mógł.

Zatopiony w rozmyślaniu, które mu żadnej dobrej myśli nie podawało, patrzył niewzruszonym okiem daleko przed siebie i równie nic nie spostrzegał, jak nic nie myślał. Wtém usłyszał za sobą szelest, obejrzał się i spostrzegł dwóch ludzi po szlachecku ubranych, wysokich i silnych, lecz pokornie ze zdjętymi czapkami ku niemu zbliżających się, którzy po zwykłym pobożnym pozdrowieniu przystąpili blisko do niego, pocałowali go każdy w inną rękę i przemówili do niego mianując go *Wielebnym Ojcem*.

— Ja nie *Ojciec*, zawołał Faustynek zdziwiony i wyrwawszy im ręce dodał skazując na klasztor: Tam są *Ojcowie*, ja tylko jestem *Braciszkiem*.

— To jeszcze lepiej, odpowiedział jeden z nieznajomych prostując się i porzucając przybraną pokorę; takiego nam też właśnie potrzeba.

— Jako potrzeba? zapytał Faustynek. Ja tego nie rozumiem.

— My ci to zaraz wytłumaczymy, odpowiedziano, tylko ruszaj naprzód z nami.

— Ja i bez was chciałem iść naprzód, rzekł Dodosiński, jeżeli idziecie w tę samą drogę, co i ja i jeżeliście poczciwi ludzie, to pójdę; czemu nie?

— Mniejsza o jedno i o drugie, tylko zabieraj się co prędzej, bo nie ma czasu do stracenia; za chwilę dowiesz się wszystkiego.

— Ale co zaś? Myślałby kto, żeście umyślnie po mnie przyszli.

— Czy po ciebie, czy nie po ciebie, to nam wszystko jedno; nam tylko trzeba księdza.

— Ale ja nie ksiądz, mówię wam. Po księdza idźcie sobie do klasztoru.

— Masz habit, to dosyć; nam więcej nie potrzeba. Gdybyśmy ciebie nie byli tutaj napotkali, tobyśmy musieli byli uprosić którego prawdziwego księdza, aby poszedł z nami, ale co ciebie, to się prosić nie będziemy. To mówiąc wzięli go oba nieznajomi pod rękę, i nie czeka-

jąc dalszych uwag jego, a korzystając z pierwszej chwili odurzenia, sprowadzili go szybko z góry, tak iż biegnąc na dół oprzeć im się nie mógł.

Lecz gdy stanął na równej ziemi, zatrzymał się w miejscu, szarpnął się raz i drugi i chciał rozpocząć bój krwawy, obroną własną usprawiedliwiony. Na ten zamach odpowiedziano mu dwoma równie silnymi argumentami, bo mu okazano razem pistolet i worek pieniędzy mówiąc: *Wybieraj*. Opadły ręce naszemu Braciszкови, bo pistolet na piersi wymierzony silniejsze czynił wrażenie na umyśle, od usłyszanego brzęku pieniędzy. — Przez Bóg żywy, czegoż chcecie odemnie? zapytał z trwogą. —

— Niczego złego dla ciebie, tylko uległości zupełnej, odpowiedziano, a w tym razie nie będziesz łżałował, że wypełnisz, czego od ciebie żądać będziemy.

Nie można było wątpić o zupełnej uległości Dodosińskiego, bo spuszczone oczy i ręce i bierność całej postaci jego dowodziły jej najoczywistej. Dlatego wzięto go powtórnie pod ręce, obrócono się w bok i szybko z nim postępowano. Na małej drożynie o podał od głównego traktu stał pojazd zamknięty. Doszedłszy do niego podano mu rękę do wsiadania, zawiązano mu oczy i pojazd szybkim pędem naprzód ruszył. Po kilku godzinach jazdy, gdy już słońce było zaszło, zatrzymał się pojazd; zdjęto zasłonę z oczu Dodosińskiego i ujrzał się w lesie przed małym ko-

ściółkiem, do którego dotykało mieszkanie pustelnika, jedno i drugie od dawnego czasu opuszczone. Skoro wysiadł z obudwoma towarzyszami swymi, natychmiast pojazd nawrócił i równie szybko jak przybył, tą samą drogą odjechał.

Nasz bohater przecierał sobie długo oczy, jak gdyby chciał więcej widzieć, jak się mógł domysleć, patrzył to na kaplicę, to na towarzyszków swoich, to na pojazd odjeżdżający, tak iż się zdawało, że się wszystkiego pytał: Co to się znaczy? Co to z tego będzie? Ale strach długim milczeniem, nastalym mrokiem i samotnością miejsca wzbudzony, zamykał mu usta.

Po chwili rzekł jeden z towarzyszków: To miejsce jest dalekie od wszelkich zamieszkań ludzkich, mila lasu na około, żadnej wsi, żadnej nawet karczmy nie masz w pobliżności, więc wszelkie usiłowanie, wołanie o pomoc, wszelki krzyk na nicby się nie przydał.

— A pocóżby kto miał krzyczeć? odpowiedział Dodosiński drżącym głosem z pewnym uśmiechem, przez chęć ujęcia sobie mówiącego, pomimo nawet największego strachu na ustach osiadającym, i patrzył mu się nieśmiało w oczy.

— Tak zwyczajnie, z niepotrzebnego strachu, rzekł tenże. A któżby się zaś bał z takimi panami? mówił jak wprzody nasz bohater.

— To dobrze. Teraz słuchaj i uważaj, co ci powiem. Oto najprzód musisz mi przysiądź

na ten pistolet, że nikomu, nigdy, ani słowa nie powiesz o tém wszystkiém, co tu obaczysz, i co się tu dzieć będzie.

— Na pistolet? zapytał drżącym głosem Dodosiński.

— A tak. Bo to broń zabójcza, a gdybyś miał złamać przysięgę, toby pierwsza jakakolwiek strzelba, którabyś gdzie spostrzegł, sama do ciebie wystrzeliła i trupem cię położyła. —

— Rozumiem, odpowiedział równym jak zawsze tonem nasz bohater, który teraz mniej jak kiedykolwiek na nazwisko bohatera zasługiwał, i wykonał trzymając trzy palce prawej ręki na lufie pistoletu żadaną po nim przysięgę. — Po dopełnieniu tej formalności poszedł między strzegącymi go towarzyszami do kaplicy, gdzie już zupełna ciemność panowała. Jeden z nich do był dwóch kawałków świec woskowych, skrzesał ognia, zapalił je i nakapawszy wosku na mensę zruinowanego ołtarza, ustawił je na nim.

— Tutaj będziesz dawał ślub, rzekł do Faustynka, osobom, które wkrótce przybędą.

— Ja ślub dawać? Jam go tylko miał brać raz w życiu, alem go jeszcze nigdy nie dawał; a więc nie umiem nawet...

— Mniejsza o to, my cię nauczymy.

— Ale się to nie godzi, bo ja nie jestem księdzem.

— Tu nie idzie o to, abys dał ślub jak się należy, bo nam go nie potrzeba. Wszelkie skrupuły twoje są niewczesne, bo mnsisz.

— Czy umiesz przynajmniej kilka słów po łacinie?

— Umieć tylko do mszy służyć, rzekł drżąco Dodosiński.

— To dosyć: a resztę ci podpowiemy.

Potem zaczęto czynić niektóre przygotowania, wśród których zajechał ten sam powóz, co wprzody, przed kaplicę, wysiadła z niego zasłonią i rzewnie płacząca niewiasta, a za nią mężczyzna średniego wieku surowej postawy. Oboje stanęli przed ołtarzem, mężczyzna dał znak rozpoczęcia udanego obrzędu, a niewiasta zemdląła i padła w ręce dwóch przy niej stojących dworzan. To przeraziło Dodosińskiego, wzbudziło w nim wstręt do wypełnienia danych sobie zleceń, a nawykły wykonać z uporem, co raz postanowił, bez względu na skutki, jakie ztąd wynikną, nie tylko że nie chciał postąpić za danym znakiem na stopnie ołtarza, ale się rozparł silnie u ściany, kiwał milcząco głową, na znak że nie postąpi kroku, i następnie z właściwą sobie siłą opierać się zaczął dwom towarzyszom swoim, którzy go gwałtem przed ołtarz wciągnąć chcieli. Widząc to mniemany Pan młody dawał oznaki zagniewania i niecierpliwości, oglądał się często za siebie, i nie mogąc inaczej sporu ułatwić do był ciężkiej sakiewki z pieniędzmi i Dodosińskiemu ją porzucił, tak że mu z pocieszającym brzękiem pod nogi padła. Lecz i ten miły odgłos nie przemógł nad jego stałością i już miano przy-

stąpić do groźby i gwałtowności, gdy krzyk mocny usłyszano przed kaplicą.

Pan młody i towarzysze jego obrócili się nagle, zgasili świece, porzucili Dodosińskiego, porwali przywiezioną niewiastę i wybiegli szybko na dwór chcąc dójść do pojazdu. Wkrótce padło kilka wystrzałów, a szczęk broni dowodził, iż się bój krwawy toczyć musiał. Łatwo się kaźden domyśli, w jakim był strachu Dodosiński. Po danym dopiero dowodzie męztwa drżał cały jak listek jesienny, i jakby nie dowierzał sile nóg własnych, zsunął się ku ziemi po ścianie i usiadł skulony w tém miejscu, w którym się dopiero co napastnikom swoim opierał, a będąc niby w oczekiwaniu trafić go mającego ciosu lub wystrzału głowę między ręce schował, aby przynajmniej nic nie widział. Po krótkiej chwili największej trwogi zaczął się słyszany hałas coraz bardziej oddalać, aż nakoniec zupełna cichość nastąpiła. —

Dla tchórzów są dwa rodzaje bojaźni: jedna w obec ludzi, których się obawiają, druga gdy nie masz ludzi, od którychby się jakiegś pomocy spodziewać mogli. Pierwsza jest rzeczywistsza i da się więcej usprawiedliwić, lecz zwykle nie tak silnie działa na słabym umyśle, jak druga, która częstokroć żadnego słusznego nie ma powodu. Tego właśnie doświadczał nasz bohater. Jeżeli bowiem drżał słysząc wystrzały i zgiełk zagładą grożący; można powiedzieć, iż teraz nie śmiał nawet drzeć ze strachu, gdy sam na sam został,

aby szczękania własnych zębów nie usłyszał. Jeżeli wprzody zasłonił oczy, aby nie widział polysku wystrzałów, teraz nie śmie ich otworzyć dla tego, że nie miał widzieć w ciemności. Jeżeli w ów czas mimowolnie poniekąd po ścianie aż do ziemi się spuścił, teraz nie śmiał się ruszyć z miejsca, ażeby się nie przeląkł szelestu, któryby przez to zrobił. W tym stanie prawdziwego zmartwienia, siedział długo bezwładny na miejscu, tyle tylko iż każde poruszenie potłuczonych szyb w oknach, każdy odgłos mocnego ptaństwa, drganie w nim sprawiały.

Lecz szczęściem to dla ludzi, że żadne gwałtowne wzruszenie długo trwać nie może. Największa trwoga i bojaźń równie się zmniejsza i ustaje, jak zapal i uniesienie. Po przetrwaniu w zimnych potach, dreszczach i w zupełnym prawie braku przytomności, uniósł przecie Dodosiński nieco oczu do góry, i gdy nic wcale wkoło siebie nie spostrzegł, powstała w nim ta myśl pocieszająca, że i jego nikt i nic widzieć nie może. Zwróciwszy oczy trochę na bok spostrzegł miejsce nieco jaśniejsze od samej głębi kaplicy, i tąd przerażony szybko twarz w ręce schował. Za drugim wzniesieniem oczu rozeznał, że tąd miejscem nieco jaśniejszym były otwarte drzwi kaplicy. To znowu wzbudziło myśl pocieszającą, że można wyjść z tego miejsca trwogi. Przywrócona przytomność przywiodła mu na pamięć worek z pieniędzmi pod nogi rzucony; sięgnął ostrożnie ręką pod siebie; natrafił na niego, a unosząc go zwol-

na, żeby pieniądze nie zabrękiły, mocno ręką go ścisnął. Nakoniec po długim wahaniu się co ma z sobą począć, porwał się i pędem otwartymi drzwiami wybiegł, a natrafiwszy sześciliwym zdarzeniem na drogę szybko naprzód postępował, oglądając się ciągle czy go kto nie goni.

Cała ta scena porwania, trwogi i uciezki trwała dłużej jak się w opowiadaniu zdaje, tak dalece iż dzień zaczynało, gdy Dodosiński z lasu wychodził. Cóż było począć z sobą? jakim sposobem wykonać w klasztorze jeszcze powzięty zamiar wrócenia do swoich? gdy do dawnych przeszkód dwie nowe przybyły: obawa, ażeby nie szukano tego księdza, który miał ślub dawać porwanej osobie, i większa jeszcze obawa, aby się nie wydało, że ma przy sobie pieniądze, które mogły służyć za dowód przekupienia i spółnictwa w występny czynie.

Te dwie myśli opanowały słaby umysł naszego bohatera, skoro tylko wyszedł z lasu i na otwartym polu się ujrzał. Musi to być zabytek pierwszego stanu dzikości człowieka, że w lesie nie raz schronienia szuka i że się w nim bezpieczniejszym być sądzi, zwłaszcza gdy ma przyczyny obawiania się prześladowania od ludzi. Póki jest między pniami i liśćmi, póty rozumie, że się ukrywa przed wzrokiem tych ludzi, których mu unikać wypada. Dlatego też nie pomyślał nawet Dodosiński o niebezpiecznym położeniu swoim, póki w cieniu lasu postępował, a przeraził się uciem za pierwszym krokiem w otwartym polu

uczynionym. Dotąd trzymał worek z pieniędzmi za zanadrem schowany, a teraz spuścił szybko rękę i obejrzał się trwożliwie, czy kto nie widzi, że on ma coś ukrytego przy sobie. Nastąpiła trudna walka wewnętrzna względem tego tak niespodzianie i niewinnie nabytego skarbu. Przewrotność i wrodzone uczuciowości uczucie, kazały porzucić pieniądze bez pracy i zasługi nabyte, a chciwość i pomyślne nadal widoki starannie zachować je radziły. Łatwo się każdy domyśli, które uczucie górę wzięło i że poczytawszy posiadane pieniądze za prawnie nabytą własność, lepiej je jeszcze ukrył Dodosiński i pospieszył drogą do karczmy, do której go potrzeba spoczynku i posiłku wstąpić zniewalała. Szczęściem dla niego, był w niej karczmarzem katolik, który go przyjął z poszanowaniem sukni jego przynależnym i śniadaniem poczęstował. Posiliwszy się usnął nasz Faustynek w tém samym miejscu, gdzie dopiero zajadał, niemogąc się oprzeć przemocy snu i znużenia. —

ROZDZIAŁ II.

Illustrissimus.

Smaczny i spokojny był z razu sen naszego bohatera, lubo tylko siedzący i oparłszy głowę na stole zasypiał. Po niejakiem czasie, zaczęły mu się różne straszne mary uwijać po głowie: to był między zbójcami, którzy mu pieniądze wydrzeć usiłowali, to go zamykano w wieży za dowiedzione spółnictwo występku, to dzwonił w dzwon żałobny w kościele i widział zbliżający się pogrzeb. Nakoniec zdawało mu się, iż sły-szy szczęk broni i krzyki wojskowych, że mu jakieś niebezpieczeństwo grozi, że zbrojny wojo-wnik wpada na niego i chcąc go zabić chwyta go za włosy. . . . Przerażony zrywa się ze snu, budzi się, powstaje, otwiera oczy i widzi w sa-mej istocie przed sobą ogromne wasy, groźne spojrzenie i hełm na głowie, a u karku czuje

silną rękę żołnierza, który go przebudził i na powitanie te groźne do niego słowa przemówił: A tuś ptaszku!

Biedny nasz bohater nie wiedział wcale, co się z nim dzieje, czy spi jeszcze, czy się już obudził; otworzył usta i oczy szeroko, ale nie rozpoznać, i nic wyrzec niemógł. Całe jego życie poprzednie znikło mu z pamięci, czuł tylko duszącą go rękę napastnika, przez stół po niego sięgającego, który nie zważając na wrażenie jakie na nim czynił, z za stołu go na środek pokoju wyprowadził, i przedstawiając go dwom swoim kolegom rzekł: To ten, którego szukamy. — Nastąpiły urągania i przykre szyderstwa trzech żołnierzy, którzy wszyscy razem zaczęli szamotać Dodosińskiego. Na ostatku dobyli postronków i zabierali się już do związania nieszczęśliwego Faustyńka, gdy ten mniemając, że się ostatnia chwila jego zbliża, padł na kolana, i złożwszy ręce rzekł drżącym głosem: Panowie żołnierze! Bóg świadkiem, że ja niewinny człowiek. Anim ja wam, ani nikomu innemu żadnej krzywdy nie zrządził; źli ludzie tylko, lub złe duchy pastwią się nademną nieborakiem, a nikt się też za mną nie ujmie, ani ulituje nademną.

Będzie taki, który ci powie, coś ty winien, rzekł jeden z żołnierzy gotując postronek do właściwego użycia — przed nim się sprawisz z tego, zkądś wziął ten habit bernardyński, pod którym łotra skórę ukrywasz.

— A Bóg ci mi świadkiem, żem go nikomu nie wziął, tylko że mi go Ojcowie Bernardyni dali, bo w ich klasztorze byłem Braciszkiem, i na to nie jednego świadka postawić mogę.

— Dalejno, dalej, panie Braciszku, dawaj twoje ramię, co ci na nie nasze ogórki zawdziecemos, zawołał z urąganiem żołnierz porywając go za rękę. Może ciebie Ojcowie Bernardyni wysłali ślub dawać w lesie, i służyć za współnika tym łotrom, których wczorajszej nocy powiązanych dostawili do naszego Grodu, i którzy zeznali, że był między nimi jeden za księdza przebrany, a podług ich opisu kubek w kubek taki jak ty.

To rzekłszy zaczęli się wszyscy trzej żołnierze co raz niemiłosierniej z Dodosińskim obchodzić, tak dalece, iż w rozpaczę zawołał: Kto w Boga wierzy, niech mnie, niewinnego człowieka ratuje!

Na te słowa przystąpiło do żołnierzy kilku chłopów, którzy się od początku z wyrazem niechęci całej tej scenie przypatrywali, a jeden z nich, sołtys miejscowy, biorąc za ramię jednego z żołnierzy rzekł: Zwolna, Panie żołnierz, zwolna! My nie damy tu zrobić krzywdy nikomu. Jeżeli wam ten człowiek podejrzany, to pójście z nim wprzody do pana, albo się rozprawcie przede mną wojtem Gromady.

— Patrzcie waszej wódki! zawołał żołnierz odpychając chłopą. My tu od starosty grodowego przysłani; przed nim tylko sprawiac się będziemy z naszego postępuku.

— Słyszysz ty! nie popychaj tego gospodarza! krzyknął podpily wysoki parobek stawając między sołtysem a żołnierzem, bo my cię tu wnet nauczymy gwizdać po kościele.

— Co wy tu macie za sprawę? rzekł sołtys żwawo, przyskakując z innymi bliżej jeszcze do żołnierzy. Albo to tu królewszczyzna, albo duchowne dobra jakie, żebyście tu sobie bonowali? to wieś dziedziczna! My tu mamy pana i dziedzica, a za pomocą najprzód Boga, a potem pana, nie damy sobie, ani nikomu krzywdy zrobić na jego gruncie.

— Co ja tam dbam o was, i o waszego pana, odparł najśmielszy z żołnierzy, a pochwyciwszy mocno Dodosińskiego za kark zawołał na swoich kolegów: Dalej, bierzcie go! i fora ze dwora z nim.

Lecz tak się nie stało jak mówił; bo Dodosiński miał więcej siły jak odwagi, a gdy poczuł, iż ma w chłopach plecy za sobą, rozparł się, i tak mocny odpór stawił, że go trzech z miejsca ruszyć nie mogło.

— Nie dajmy go! zawołał sołtys, a łącząc uczynek do namowy rzucił się z innymi chłopami na żołnierzy, i po niedługiej walce zmusił ich do puszczenia zdobyczy swojej; a gdy się więcej chłopstwa zbierać zaczęło przed karczmą, ustąpili z placu, dopadli koni i uciekli. Chłopi wybiegli za nimi z krzykiem i odkazywaniem, a gdy ich już widać nie było, wrócili do izby karczemnej; gdzie zastali Dodosińskiego w spo-

kojnej rozmowie z dziadem, który go poznał jako Braciszka w kościele Ojców Bernardynów, i którego świadectwo zupełną ufność wszystkich obecnych naszemu bohaterowi zjednało. Po wygranej wypadało weselić się i obchodzić tryumfy wystawieniem kilku kwart wódki, które Dodosiński pomny na posiadane pieniądze fundował. Długo trwała pijatka, do której przez przezorność nie należał, lecz odbierając ciągle od wszystkich dowody przychylności, i nawet uszanowania, miał sposobność poznania przytém osoby, która na dalszy los jego wielki wpływ miała.

W ciągu całej poprzedzającej sceny napaści i wyparcia żołnierzy, siedział w alkierzu jako obojętny świadek wysmukły szlachcic kilkadziesiąt szparażkami ozdobiony, w wytartym popielatym kontusiku, z pod którego wyglądał wypłowiały żupan; przy boku wisiała szablina w czarnej pochwie z żelazną rękojeścią. Figura ta zajęta była pisaniem z podróznego blaszanego kałamarzyka, na papierze z zanadrza wydobytym. Właśnie był skończył pisać, wytrząsnął pióro starannie, do puzderka schował, przejrzał raz jeszcze z upodobaniem pismo swoje, zasypał piaskiem z podłogi zebrany, i schowawszy je wraz ze wszystkimi utensyliami piśmiennymi zwrócił wtedy dopiero uwagę na to, co się w szynkownej izbie działo, gdy już wódka zagładzała pamięć poprzedniego wypadku, a spojrzawszy dla słońca pod rękę na goszczących postanowił wyruszyć ku nim, aby spróbować, czy nie

będzie mógł mieć jakiego udziału w chojnie fundowanym posiłku.

Wszyscy niemal chłopcy byli w tym stanie słodkiego podchmielenia, który przychylnie, przyjacielskie i uniżone uczucia wzbudza, i który się głupowatym uśmiechem, częstym ściskaniem kolan i zdejmowaniem czapek odznacza. Dodosiński, ów powód ich walki i dowód zwycięstwa, a nadewszystko chojnie częstujący przyjaciel, był głównym przedmiotem tych przychylności i tego uszanowania; a dziadek, który go tak skutecznie świadectwem swoim poparł, ciągle gadał i niezliczone przytaczał dowody tożsamości osoby Dodosińskiego i dawniej z nim zażyłości swojej, ażeby przez to należeć do kolei półkwaterek szklanek, które gęsto między zgromadzonymi obchodziły. Do tego towarzystwa zbliżał się z daleka nasz wysmukły szlachcic, przymuskując przygrube włosy i poprawiając pasa, a przystąpiwszy do nich pozdrowił ich głosem: *Niech będzie pochwalony*. Na co wszyscy chłopcy, przy lekkim uchyleniu czapek i kiwnieniu ciężkimi głowami, zwyczajnym sposobem odpowiedzieli.

Łatwo zawiązała się rozmowa przez pytanie o niewiadome niby sobie powody do utarczki, na które wszyscy razem odpowiadali; a pochwalenie i usprawiedliwienie prawnymi przyczynami całego postępku zjednało Panu assesorowi Skrzyńkowemu *) (bo taki był urząd szlachcica) wzglę-

*) Assesor Skrzyńkowy byłto niski urząd sądowy,

dy wszystkich, i nadewszystko przypuszczenie do przyjacielskiej kolei.

Dodosiński ucieszony widokiem człowieka równego sobie stanu podał mu rękę i rzekł do niego: Witam was, panie Bracie. — Co? czy Waszmość *nobilis*? zapytał pan assesor.

— Ji gdzie tam, nie pobiłem tyłkom się bro-
nił. Odpowiedział Dodosiński źle zrozumiawszy zapytanie.

— Czy Waszmość nie umiesz po łacinie?

— A toż co znowu! zawołał zdziwiony Dodosiński. I ten mi się będzie o łacinę pytał. Jutżo drugi raz od dnia wczorajszego chcą łaciny odemnie. — Nic nie umiem, nawet do mszy służyć nie umiem.

— A jakżeż to być może, kiedy nosisz tę suknię, będąc lub mając być księdzem.

— Księdzem? znowu księdzem? Nie, ja się już drugi raz złapać nie dam. Bodaj przepadł ten, co mnie nim chciał zrobić! Nie byłem, nie jestem, nie będę księdzem! — Na te wykrzykniki odstąpił parę kroków w tył pan assesor i spojrzał zadziwiony na naszego bohatera i pomyślał sobie, że żołnierze wypędzeni słuszną podobno sprawę przegrali. Dodosiński zaś przestraszony samą miną assesora, a bardziej jeszcze uczynionemi sobie zapytaniami, postanowił uniknąć bliż-

odpowiadający dzisiejszemu woźnemu, którego jednem zatrudnieniem było sięgać po skończonym Trybunale grzywny od tych, którzy na nie skarani byli.

szej z nim znajomości, i widząc już chłopów napiłych zupełnie wynieść się z karczmy; czego jednakże bez zapłacenia fundowanego trunku skutecznie nie mógł. Dlatego upatrzywszy moment, gdzie mniej na niego zważano, poszedł do kąta, i oglądając się trwożliwie sięgnął po worek z pieniędzmi. Lecz nie wiedział, co się w nim znajduje. I gdy go drżącymi rękami rozwiązywał, tak to niezgrabnie uczynił, iż kilkanaście sztuk złota na ziemię upadło. Zdziwiony i przerażony razem niespodzianym widokiem skarbu, którego wielkość zupełnie go odurzała, w największej obawie, ażeby go nie spostrzeżono, i potem mu go nie wydarto; rzucił się na ziemię za upadłemi dukatami i obejrzał się ze strachem na obecnych, czy też przypadek jego uszedł ich uwagi? Żaden z chłopów nie widział tego, bo żaden nie był zdolny zważania czegokolwiek hańdź. Lecz pan assesor, który nie spuszczał z oka Dodosińskiego, widział dobrze, co się stało i mile zajęty dźwiękiem upadających dukatów zastanowił się nad tem, jakaby to osoba pod postacią Braciszka bernardyńskiego ukrytą być mogła? i ułożył sobie w głowie odgadnienie tej tajemnicy nader dalekie od rzeczywistości. Mając tylko wybór do uczynienia między złodziejem a wielkim panem, wołał w nadziei zysku ostatnie przypuścić, i dlatego z susem poszanowania przyskoczył do Dodosińskiego i rzekł: Illustrissime! jeżeli mogę być pomocnym . . . Nie, nie! zawołał Dodosiński przyciskając sobą dukaty.

Trzymaj się Waś z daleka; ja sobie sam pozbięram.

— Ja tylko zasłonię przed ludzkimi oczami, bo to niebezpieczno, ażeby ta hołota złoto zobaczyła. Mnie Illustrissimus zaufać może, jakem szlachcic i sługa uniżony.

--- No dobrze, dobrze, tylko z daleka! rzekł Dodosiński zebrawszy pieniądze i podnosząc się z ziemi. To moje pieniądze. Cóżby w tym mogło być niebezpiecznego pokazywać je ludziom? Ja i tak muszę niemi zapłacić za wódkę, którą dać kazałem.

— A to nie można. Oni nawet nie znają takich pieniędzy. Toby to w nich podejrzenie, a może i złe zamiary wzbudzić mogło. Illustrissimus niech pozwoli, to ja ex propriis tę małą kwotę do dalszego porachunku zastąpię. — To rzekłszy wyprostował się z czynionych ukłonów pan Assesor, szybko przerzucił czapkę w prawej ręce utrzymaną pod lewą pachę, poszedł na palcach do alkierza, 'gdzie się gościnnie znajdował, z miną otuchy i tajemnicy pełną zaspokoił dług Dodosińskiego i szybko do niego powrócił, donosząc mu z niskim ukłonem, iż uskutecznił co przyrzekł.

— Dobrze to jest, rzekł Dodosiński, ale za cóżbym ja nie miał tego temi oto pieniędzmi zapłacić? —

— Illustrissime, odpowiedział szlachcic przystępując bliżej z uszanowaniem do Dodosińskiego, niewiem jakie mogą być powody JWPana do u-

krywania się pod tym ubiorem, lecz po tem, co się już działo, wypada we wszystkim postępować z największą ostrożnością. Illustrissimo nie może być tajno, że Quasi — Braciszek bernardyński pieniędzy, a zwłaszcza takich, mieć nie może. —

— Ja ich też tylko mam trochę, odpowiedział z obawą Dodosiński.

— Mnie w to nie wchodzić, wiele ich Illustrissimus mieć może przy sobie, ale z obowiązku braterstwa i dla dogodzenia chęci, jaką mam poświęcenia się usłudze znamienitej osoby, którą w trudnym położeniu postrzegam....

— Tak, tak, w trudnym położeniu; dobrze mówicie, przerwał szybko Dodosiński — i gdybyście to szczerze ze mną wychodzić chcieli, to bym zażądał waszej pomocy.

— A, Illustrissime! zawołał szlachcic z niezuteńkim ukłonem. Bóg mi świadkiem, że ja w najczystszej intencji chcę poświęcić moje usługi jego dostojnej osobie, i uskarbić sobie jego wysoką łaskę, która dla mnie chudego pacholka tak wielce pożądaną być powinna. A więc, dodał przybliżając się z misterną miną do Dodosińskiego, w czymże najpierw mogę być użytecznym?.....

— Najpierw by mi potrzeba było innego ubioru, odpowiedział Dodosiński.

— Bez wątpienia. Bo w tym habicie niebezpieczną byłoby rzeczą okazać się na trakcie, gdzieby nas owi żołnierze napastować mogli.

— A toć to, to. Ale zkadźeby sukni dostać? Mnieby trzeba szlacheckiego ubioru.

— Na to łatwy sposób, Illustrissime: Mam ja z sobą świąteczny kontusz i żupan, i za szczęśliwego się poczytam, jeżeli się niemi przysłużyć potrafię. Raczcie się przeto udać ze mną do stajni, tam przebiorę JW Pana, potem wyprowadzę tylnemi wrotami na drożynę, która na prawo wiedzie do wiatraka, tą postąpcie, Illustrissime, parę staj aż do rozstajnych dróg, gdzie stoi Boża męka i wielka przy niej gruszka; tam poczekaście, Illustrissime, na mnie, bo razem ztąd wyjeżdżać nie możemy i gościnnny nie musi wiedzieć o przemianie ubioru waszego,

Podczas całej tej szybko udzielanej instrukcyi stał Dodosiński z otwartemi ustami przed szlachcicem i wlepił w niego oczy strachu i podziwienia pełne. A gdy skończył, nie wiedział jeszcze, co z sobą ma począć i czy ma iść za radą, która zbyt była długa, ażeby łatwą do wykonania być miała. Lecz szlachcic odwrócił się od niego dla niepoznaki, i zbliżając się do gościnnego rzekł: Wszak prawda, Panie gościnnny, że Dobrodziej może śmiało peregrynować do miasta, a bliżej mu będzie ścieżką przez łąki? — A takci, tak, odpowiedział gościnnny. Któżby mu już teraz miał co mówić?

— A więc pokażę wam drogę. Pójdźcie ze mną, rzekł szlachcic obracając się do Dodosińskiego i dając mu znak do oddalenia się. — On zaś wtedy dopiero wyszedł, gdy go wszyscy z

kolei żegnać zaczęli. Assesor przebrał wkrótce Faustynka, wyprowadził go za bramę i pokazawszy mu drogę, którą miał postępować, wrócił sam do izby dla niepoznaki. Z bijącym sercem ruszył naprzód nasz bohater i oglądając się ustawicznie za siebie zmierzał szybko wskazaną sobie drogą na oznaczone miejsce.

Pogodny wieczór sprowadził tę spokojną ciszę, przy której nie ledwo każde oddychanie własne słyszeć można. Po upale dziennym nastał chłód przyjemny, wszystko tchnęło odświeżeniem i pewną lubością, której tak chyba obojętne serce, jakie nasz bohater posiadał, czuć nie umie. Wszelakoż gdy zasiadł pod krzyżem sobie wskazanym, i chwilę pewną na oczekiwaniu strawił, odebrał niejaki przyjemne wrażenie od otaczających go przedmiotów i westchnął sobie głęboko, bo mu rodzinna zagroda na myśli stanęła; zwłaszcza gdy skrzypienie żurawia od studni w pobliżkiej wiosce panującą cichość przerwało. — Ach! czemużto ja nie jestem panem, pomyślał sobie, ażebym mógł dostać się do swoich! Bo gdybym był panem, tobym tylko rozkazał się zawieźć, a nie miałbym kłopotu myśleć o tem, aby się do nich dostać. Bo gdybym był panem, tobym wcale nie myślał o tem, co się ze mną stanie, tylko płacił i rozkazywał.

Płacił — powtórzył na pół głośno i przerwał swoje marzenia, bo myśl wielka zajaśniała w jego umyśle... O wszakże ja mam czym płacić! rzekł dalej, sięgnął szybko po worek, sta-

rannie przy zmianie ubioru schowany, obejrzał się z trwogą na wszystkie strony i wysypał powoli na dłoń kilkadziesiąt dukatów, które się w nim znajdowały. Uśmiechnął się słodko do swego skarbu, którego wielkości dobrze nie oceniał, i zawołał w uniesieniu: Zadosyć jestem panem! Lecz drgnął ze strachu, gdy szmer jakiś usłyszał, wsunął nazad do sakiewki pieniądze i zadrżał z powodu czarnej myśli, która tak szybko po pierwszym uradowaniu głowę jego zajęła.

— A czy mnie też ten szlachcic niechce zabić, i z pieniędzy złupić? Czy on mnie gdzie znowu do lasu nie zawiezie między zbójców?.... Tak myślał sobie, mocny dreszcz go przeszedł i nowa trwoga opanowała umysł. W zupełnej niepewności, co ma przedsięwziąć, chciał już się zabiierać do opuszczenia miejsca, na którym siedział z polecenia szlachcica gdy mu turkot wózka przybycie jego zwiastował.

Nie zaraz zerwał się z miejsca Dodosiński, bo nie wiedział jeszcze, czy ma go przyjąć za towarzysza dalszej podróży, czy się też od niego odczepić. Lecz spojrzawszy na niego zrobił prosty a dobry wniosek, że sam na sam z nim będąc nie miał się czego obawiać, i że on raczej nad nim, jako silniejszy, mógł mieć przewagę. Obejrawszy się więc raz jeszcze naokoło, rzekł śmiało do szlachcica, gdy ten stanąwszy przed nim z wózka zsiadał, i do zajęcia miejsca zwyczajnymi oznakami go wezwał: Ale

słuchajcieno, panie Bracie, gdzie wyto zemną jechać myślicie?

— Gdzie tylko JWPan rozkaże, odpowiedział szlachcie — Gdzie ja rozkażę? to co innego; tak, to zgoda. No to wieźcie mnie do Sochaczewa, a ja wam dobrze zapłacę, bo mam czém.

— A, Illustrissime, nie podobna! Ja anim sły-szał o tém mieście, to nie musi być w naszym województwie.

— A co mnie tam do tego, czy w waszém, czy nie w waszém, dość że ja tam chcę być!, a kiedy chcę i płacę, to musicie mnie zawieźć.

— Ja tego tym wózkiem i tym konikiem doka-zać nie potrafię. Odwiozę was tylko, Illustris-sime, do najbliższego miasta, zkąd będziecie mo-gli innym sposobem podróż tę podjąć.

Tym czasem usłyszano jakiś hałas z daleka. Szlachcie przybrał minę trwogi, obejrzał się i potem milczący dał znak Dodosińskiemu, ażeby wsiadł na wózek. Co téż tamten wykonał wy-rzekłszy tylko wprzód: Ha! i cóż robić? Wieź-cie mnie gdzie chcecie, aby nie do lasu.

— Nie bójcie się niczego i zaufajcie memu szlacheckiemu słowu, Illustrissime, rzekł szla-chcie siadając na przodek woza; zaciął konia i ruszył szybko po twardej drodze, tak że się turkot kół po uciszonej okolicy rozlegał.

ROZDZIAŁ III.

Podstolina chce zemsty.

Zostawiliśmy naszego bohatera na dobrej drodze. Niechże sobie nią jedzie, gdzie go nowy towarzysz i dalsze losy poprowadzą. My zaś wróćmy się do osób dobrze nam znanych, o których dawno nie już nie wspominaliśmy, i aby lepiej całą osnowę zdarzeń pojąć, cofnijmy się nawet o kilka miesięcy nazad.

Północnozachodni wiatr dał z całej siły, że się w oknach szyby w ołów oprawne trzęsły; huczał niekiedy, jakby chciał grozić zawaleniem budowy; świstał rozbijając się o załamki starego zamku, i niósł ze sobą gęsty śnieg, który zaległ w zamieciach, na podworzu i na wystawach przed oknami mieszkania. Chorążyna siedziała w dużem krześle karmazynowym adamszkim wybitem, i trzymając w ręku koronkę po

cichu odmawiała pacierze. Podstolina siedziała bliżej komina, i w milczeniu patrzyła na iskry, które ustawicznie przez nią drażniony ogień, jedne za drugimi, do wyższych ciemnie komina wysyłał. Cała jej twarz oznaczała wewnętrzne wzruszenie: czasem spuszczała trzymane cęgi bez poruszenia, poglądała spokojnie na ogień, a łagodny uśmiech, który na ustach osiadał, słodkich marzeń był znamię. Lecz często zrywała się szybko do cęgów, uderzała nimi silnie w rozżarzone główne, tak iż trzeszczących iskier pęki szybko się w górę wzbijały. W twarzy jej byłbyś wówczas wyczytał niechęć, którą przewidywanie jakiejś przeszkody wzbudzało. Te jej częste napaści na ogień przerywały pobożne szepitanie matki, która za każdym niemal razem wynurzała obawę swoją, aby się sadze w kominie nie zapaliły.

Po skończonych modlitwach powstała Chorażyna, schowała do szafki koronkę, a zbliżywszy się do okna wyjrzała na zamroczoną już okolicę i rzekła: No kto też tam teraz jest w podróży tego niech Pan Bóg od wszelkiego przypadku chroni.

— Ktoby się też na czas taki [chciał] ruszać z domu? odpowiedziała z niechęcia Podstolina.

— Moje dziecko, rzekła matka, niejedyn choć nie chce, to musi. Dobrze jest dla takiego życzliwe nieść modły, bo kiedyżto bliźniemu prośba nasza o łaskę boską potrzebną nie jest?

Gdy tak mówiła chorążyna, usłyszano hałas przed domem. Podstolina zerwała się szybko, pobiegła do okna i rzekła: Wywołałyśmy wilka z lasu, otoż i jakiś podróżny stanął przed domem, i to jeszcze konny do tego. To mówiąc stała przy oknie, przechylała się na obie strony, aby rozpoznać podróżnego, czego przy panującym już pomroku dokazać nie mogła. A gdy upłynęła długa chwila, nim się ktoś z doniesieniem o przybyciu podróżnego okazał, odwróciła się zniecierpliwiona od okna, poszła szybko do rogu ściany i mocno pociągnęła za sznur od dzwonka, aby który z dworskich przyszedł. Po nowem i żywem zadzwonieniu poznali dworscy w przedpokoju niecierpliwy rozkaz Podstoliny, dlatego dwóch się razem zerwało ze szlabanów, na których spali i jeden przed drugim pospieszył do pokoju, ale żaden nie był w stanie odpowiedzieć na natarczywe zapytanie Pani, kto konno przyjechał? bo podróżny jeszcze się w sieni ze śniegu otrzepywał, gdy dzwonek dworskich w przedpokoju pobudził. Zgromiony służący miał właśnie wychodzić, aby ciekawość Pani zaspokoić, gdy się we drzwiach spotkał z panem subdelegatem, który przymuszkując czupryny szedł na palcach do pokoju, aby z ważnej missyi swojej Paniom zdać sprawę.

Zywo spojrzała na wchodzącego Podstolina, rumieniec osiadł na jej twarzy, na której się niecierpliwosc ciekawosci malowała, i chciałaby była jednem wejrzeniem wyczerpnąć z przybyłego wszy-

stko to, co jej miał donieść. Lecz on dopełniał tymczasem z flegmą wszystkich formalności uszanowania, jakie swym paniom był winien. Ukłonił się najprzód przy drzwiach, wyjął potem z pod lewej pachy czapkę, i schylając się nisko do nóg chorążyny ją przyłożył, mrużąc przytém zwyczajne uniżoności formuły. Następnie podstolinie podobnyż pokłon oddał, na który ona znakiem niecierpliwości odpowiedziała mówiąc: No i cóż tam? jakże się skończyło? Lecz subdelegat wrócił z flegmą do drzwi, stanął w miejscu przez uszanowanie wskazaném, przełożył czapkę zwolna pod pachę, i rzekł: Ale téżto czas dzisiaj, co psa trudno na dwór wypędzić.

— Musiałeś Aści przeziębnać — mówiła z troskliwością chorążyna — idź do piwnicznego, niech ci da lampkę miodu, co byś się rozgrzał, a potem przyjdiesz powiedzieć, jak tam było.

Skłonił się subdelegat, i skwapliwie wybierał się z pokoju dopełnić polecenia chorążyny; lecz Podstolina zatrzymała go szybko mówiąc: Ale co znowu? Kto to słyszał, żeby miał wprzody o sobie jak o nas pamiętać! No i cóż? jakże tam było? Gadajże Aści prędko. —

— Ha! i cóż mam powiedzieć? Nie mam się z czém spieszyć. Dostyc będzie czasu dowiedzieć się i później, że się nic nie udało.

— Jakto nie udało? rzekła z mocą podstolina i wyraz gniewu zastąpił miejsce niecierpliwości, która się dawniej na jej twarzy malowała. Czy jeszcze nie po ślubie?

— A nie, bo nie ma pana młodego.

— Co? Dodosiński nie przyjechał na wesele?

— Przyjechał, ale go pan staroście kazał porwać i wywieźć gdzieś, tak iż nikt nie wie, co się z nim stało.

Uśmiech złości osiadł na twarzy podstoliny, rzuciła się w krzesło i oparłszy niby z niechcenia głowę o rękę patrzyła jak osłupiona na ogień, i subdelegatowi szczegóły całego wypadku opowiadać kazała; a wysłuchawszy je bez szczególnej uwagi rzekła do niego; gdy skończył: Idź Waś się rozgrzać i posilić miodem. —

— No proszę, ktoby się był spodział! rzekła chorążyna, gdy wyszedł. Ow młodzieniec skromny i cichy dopuścił się takiej wiolencyi! Co się też tam z niebogą Anielą dzieje? — Co się ma dziać? odpowiedziała podstolina ze złośliwym uśmiechem, rada temu jak najmocniej. To rzekłszy zamysliła się nieco przygryzając wargi, a potem mówiła dalej: Spodziewam się, że zostanie przywołaną nazad do naszego dworu... Trzeba nawet niebawnie po nią posłać, boby gotowa się najgrawać z nas, i z tego, że nam się sztuka nie udała; gotowa się chępcić z tego, że pierwszeństwo... Bo jak się dowie, że staroście go kazał porwać, będzie rozumiała, że to dla niej... a może potem... bo ktośto wie?... toby był nie pierwszy przykład takiego szaleństwa.

— Ale moja Basiu, przerwała chorążyna z flegmą, gdyby kto obcy słyszał, coś ty dopiero

bez najmniejszego związku mówiła, toby mógł sądzić doprawdy, że tobą jeszcze zazdrość powoduje.

— Zazdrość! powtórzyła zrywając się ze stolka podstolina, zazdrość! a o kogo? o tego niedowarzonego młokosa? Jabym miała go zazdrościć? a komu jeszcze? dwórcę służącej....

— Ja nie mówię tego, odpowiedziała spokojnie chorążyna, boby też to było zanadto; trzebaćby się chyba zaślepić w nim zupełnie, żeby dotąd jeszcze o nim nie zapomnieć. Toć on nigdy szczerze nie myślał o tobie. Z początku szedł za wolą ojca i był obojętny, potem stronił od naszego domu, tu i owdzie myślał, a nigdy o tobie szczerze.

— Dawniej często jednak bywał tutaj, przerywała podstolina patrząc w zamysleniu na ogień. — Tak, bywał, odpowiedziała chorążyna, ale póki Aniela tu była. Dobra dziewczyna — onać temu nic niewinna, że mu się więcej od ciebie, moja Basiu, podobała.

— Więcej odemnie! powtórzyła na pół cicho podstolina; zaczęła szybko chodzić po pokoju; lecz za drugim obrotem nic więcej nie mówiąc wyszła do swojej sypialnej komnaty, tam rzuciła się na ózko i rzewnie płakać zaczęła.

Traskliwa matka widząc jej wzruszenie zadzwoniła na służące i znajomej nam już pannie Agacie ze światłem za nią iść kazała. Poufała powiernica nie domyślając się niczego jak najgorzej przyjętą została, gdy ze świecą do sy-

pialnego pokoju Pani swojej weszła. Rzewne wzruszenie kryje się czasem ze łzami swemi, ażeby większego uniknąć rozżalenia, lub innym własną boleścią nie dokuczyć; lecz łzy, które złość wyciska, nigdy nie cierpią świadków, tak jak postęпки, które sumienie obciążają. Na widok wchodzącej Agaty ze światłem zerwała się podstolina z łóżka, otarła nieznacznie oczy i zawołała z gniewem: Kto wołał? kto kazał? Czego przychodzić, kiedym nie dzwoniła? . . . Iść precz! . . Nie, zostać! — Te i tym podobne wyrazy zmieszały Agatę; chciała mówić, nakazano jej milczenie, chciała błagać i przeproszać panią, lecz żadnej nie odbierała odpowiedzi, prócz wskazania na miגי, że ma łóżko posłać, rozebrać panią i odejść.

Łatwo się domyśleć, że noc cała nie była spokojniejszą od chwili dopiero opisaney. Obrażona miłość własna i chęć pomszczenia się urazy nie zasypiają, lecz dzielniej czuwają od pobudek do czynów pobłażania i dobroci. Bezseną noc strawiła podstolina na rozmyślaniu, jakimby sposobem pomścić się doznanej krzywdy, a chęć rozpoczęcia jak najprędzej najpierwszych kroków, nieznośną czyniła długość tej nocy, która powziętym zamiarom na przeszkodzie była.

Skoro tylko odgłos siekiery stróżów, z rana do rąbania drzewa przybyłych, na dziedzińcu rozlegać się zaczął, zerwała się niecierplwa podstolina z łóżka, pobudziła służące i dvorskich, a siadłszy wkrótce przed gotownią do trefienia

włosów, rozkazała przywołać do siebie subdelegata. — Nawykły ściśle wypełniać rozkazy pani, posilił on się był zeszłego wieczora tak sownie miodem, iż go się nie zaraz dobudzić mogli. Po długim szamotaniu i wołaniu doprowadzono go przecież do tego, że oczy otworzył, i z przerażeniem spojrzął na tego, który ze świecą do niego przyszedł, tym bardziej, że go nigdy tak rano podstolina do usług nie powoływała. Na pół jeszcze rozmarzony pospieszył jednakże do niej, aby odebrać rozkaz, którego się nie domyślał, bo jeszcze wcale do myślenia nie był zdolnym.

Gdy wszedł do pokoju, obróciła się szybko podstolina z przed gotowni i rzekła: Pojedziesz Waś natychmiast do Grodu zrobić manifest w moim imieniu.

— Dobrze JW Pani, odpowiedział, i zakreślił się chcąc wychodzić. Bo usłyszane wyrazy żadnego jeszcze wyobrażenia w odurzonym umyśle zostawić nie mogły.

— Gdzież Waś idziesz? Zawołała z gniewem podstolina; a czy wiesz, o co rzecz idzie? Czekać i uważać dobrze!

Subdelegat stanął, otrząsnął się i przetarł oczy, jakby się chciał dobrze obudzić, krząknął dwa razy i przestępując z nogi na nogę czekał na powtórzenie rozkazów.

— Pojedziesz Waś, mówię, do Grodu, zapiszesz manifest przeciwko starości i starościcowi, oskarżysz ich o gwałt i najazd, a miano-

wicie o porwanie dworzanina mego Dodosińskiego, i żądać będziesz: ażeby ex fundo jeden i drugi odpowiadał. Słyszałeś Waśc i zrozumiałeś Waśc Czegoż stoisz jeszcze?

— Ale bo, odpowiedział wahając się subdelegat, nie zdaje mi się, ażeby. . . .

— Co to jest? *Nie zdaje mi się.* Ja chcę, i tak być musi.

— Nic łatwiejszego, jak zapisać manifest, ale prawa nasze.

— Co prawa? Ja się też właśnie będę pytała o prawa, kiedy idzie o poszukiwanie obrazy mnie zrobionej? Zeby mnie miało kosztować nie wiedzieć co, ja tak chcę i tak być musi.

— Ale, Jasnie Wielmożna Pani, na zadawane czyny trzeba mieć dowody.

— A jakichże dowodów innych potrzeba nad te, że Dodosińskiego z przed kościoła porwano; że to, jak Waśc mówisz i ja nie wątpię bynajmniej, starościca jest sprawka, i że nakoniec ludzie jego z nim pojechali?

— To wszystko nie jest jeszcze dowodem prawnym. Trzebaby się najprzód dowiedzieć, co się z Dodosińskim stało, i zapobiedz temu, aby nie powrócił; trzebaby potem mieć świadków, jako został porwany; trzebaby.

— A co za ciasna głowa, albo co za głupie prawo! zawołała zrywając się z miejsca podstolina. Ja jestem skrzywdzona i oszukana; najdotkliwszej doznałam obrazy; chcę zemsty, pomszczoną być muszę, i abym osiągnęła ten cel,

od którego spokojność moja zawisła, nie będę szczerdzić ani trudu ani pieniędzy. . .

Tu się skłonił nisko subdelegat, z wyrazem słodkiej nadziei, którą w nim wspomnienie na zyskać się mogące pieniądze wzbudziło.

— Nie kłaniaj się Waśc na próżno, mówiła dalej podstolina, ale powiedz, czy czujesz się na siłach wykonać przedsięwzięcie moje? czy będziesz miał dowody na poparcie sprawy, jaką wytoczyć pragnę? Wszak świadków i dowody znaleźć można, jeżeli ich zabraknie. Mów, a prędko, bo inaczej gdzie indziej się obejrzę za zdatniejszym sługą.

— Jeszczem nigdy nie zawiódł oczekiwania JWPani, odpowiedział z pokorą subdelegat, i teraz wszelkiej dołożę usilności, ażeby, jeżeli nie natychmiast, to z czasem rozkazom JWPani zadosyć uczynił. Przez skargi, manifesta i proste prawne poszukiwania niczego nie dokażę. Lecz inna jest droga dójścia do zamierzonej mety. Trzeba działać skrycie, przekupić dworzan starosty i tak rzeczy przygotować, aby wtedy dopiero cios zadać, kiedy będziemy pewni, że trafi tam, gdzie należy. Upraszam przeto JWPa-nią o ufność, o czas i zupełne zatajenie naszych zamiarów, a ręczę za sukces pomysły.

Na to oświadczenie wróciła się podstolina do gotowalni i sięgnęła po przygotowane tamże pieniądze, które bez rachuby w sporym woreczku do rąk plenipotenty swego oddała. Brzęk

i ciężar pieniędzy w dłoni usunął wszelkie trudności i zagrzał gorliwie subdelegata. Bo któż kiedy wątpił o przegranej, gdy pewną stawkę na zgranie i przedajność ludzi stawiał?

ROZDZIAŁ IV.

Cyganika.

Zwolna, bo pod zasłoną tajemnicy, knuły się spiski, i gotowały zamachy przeciwko niešťczęśliwemu Waclawowi; tak iż kilka miesięcy upłynęło, a żadnych jeszcze skutków działań subdelegata nie widziano.

Nakoniec uzyskał on przecieź ufność pana Porucznika, który należał do porwania Dodosińskiego, a teraz dla redukcji dworu starosty z powodu zmniejszających się coraz dochodów z domu jego oddalony, gdzie indziej fortuny tentować był gotów. Pieniądze podstoliny skłoniły go łatwo do podjęcia się roli świadka, któregooby zeznanie zarzut gwałtu publicznego na osobie Dodosińskiego dokonanego poprzeć mogło. Tymczasem zaś nie wydawała się podstolina bynajmniej z zamiarami i z niechęcią swoją; owszem

nie tylko że uprzejmą była dla Wacława i ojca jego, jeżeli ich gdzie w sąsiedztwie spotkała, lecz nawet z gościnną grzecznością przyjmowała ich w domu swoim. To zręczne ukrywanie zgubnych zamiarów, pod powabną nawet powierzchownością, ten miało skutek, że się zagrożony Wacław niczego nie domyślał, i że podstolina sama, tak z powodu zwłoki w dokonaniu zamiaru doznanej, jako i dla częstego widywania się z Wacławem w swojej chęci zemsty stygnąć zaczynała.

Nie zmienił był wprawdzie Wacław swoich uczuć względem niej i w jednakowej zawsze trwał obojętności, lecz częste widywanie się dało powód do większej zażyłości, która oddała wymuszenie z obcowania, i pozór nawet pewnej życzliwości nadaje sposobowi obchodzenia się z objętą osobą. Przytém pogorszał się coraz bardziej stan interesów starosty, proces z rachunku opieki z podstoliną przegrany, ostateczne, słowem, okoliczności zaczynały go już skłaniać do rozpaczającego kroku. Do tego wszystkiego i to jeszcze dodać należy do powodów zmniejszonej niechęci podstoliny ku Wacławowi, że pilnie unikał widywania się z ulubioną przez siebie Anielą, która po niedawno nastąpionej śmierci matki przy ojcu mieszkała: bądźto aby ją samą od potwarzy zasłonić, bądź też aby oddalić od siebie podejrzenie, które już gniew ojca na niego było ściągnęło. Te dwie szlachetne pobudki tającenia uczuć, któremi dla Anieli był przejęty,

truły spokojność jego, tém bardziej że różnica urodzenia, majątku, obok potrzeby poprawienia swego losu przez ożenienie, żadnych mu pomyslnych widoków na przyszłość nie zostawiały. Lecz nadzwyczajne zdarzenie zmieniło do razu stósunki tych trzech sób, i wszystkie, każda w swoim zawodzie, zdjęły zasłonę, którą uczucia i i zamiary swoje pokrywały.

Imieniny podstoliny zawsze uroczyście przez matkę jej obchodzone były, liczne sąsiedztwo zjeżdżało się wówczas na tak zwaną *Galę*, którą z największą na owe czasy okazałością wyprawiano. W tym dniu nie było miejsca dosyć we dworze, zwłaszcza do pomieszczania gości przy obiedzie, dlatego zastawiano stoły pod wielkim namiotem w ogrodzie niedaleko za dworem rozpiętym. Już wszyscy kolejną starszeństwa i urzędów zajęli miejsca u stołów, a gęsto za nimi rozstawieni dworscy oganiali ich wielkimi lipowemi gałęziami z rojących się much i z groźnych os, które natarczywie na potrawy nacięrały, a najbardziej cyfry z lodowatego cukru obległy. Muzyka grzmiała w jednym rogu namiotu tak, że sąsiad mowy sąsiada rozumieć nie mógł, póki za nastąpieniem wiwatowych kielichów za zdrowie Solennizantki, życzliwe pijących okrzyki, lub dłuższe nieco perory zrazu przerwy pewnej w muzyce nie uczyniły, a w końcu zupełnie jej nie zagłuszyły. Przy samym końcu obiadu, gdy nastąpiła krótka chwila uciszenia się z powodu, że starosta podchmielony z długim wstępem po

raz trzeci zdrowie podstoliny wnosił; usłyszano za namiotem odgłos gęśli i śpiewy, które powszechną zwróciły uwagę. To Cygany! zawołał jeden z obecnych. Gotowa dla dam rozrywka, rzekł drugi, będą im mogli przysze szczęście wróżyć. — Na te słowa ruszyła się młodszych gości drużyna, a za nią damy i reszta goszczących, bo większa ich część już była znudzona długim siedzeniem.

Chciwa zysku brudna rzesza przerwała pi-skliwe odgłosy, i zbliżyła się pokornie do wyszłych z namiotu gości: wróżki naprzód, posuwając się do rąk dam, aby z krzyzowań linij ręcznych zwykle wnioski o przyszłości czynić. Jedna z nich przypatrywała się pilnie młodym panom, każdego śledczem zmierzyła okiem, od jednego do drugiego przechodząc, jak gdyby między nimi znajomego szukała. Na ostatek nie mogąc rozpoznać szukanej osoby zbliżyła się do jednego z dworskich, ciekawie im się przypatrujących, i zapytawszy go się o coś pocichu poszła potem do Waclawa, na którego on palcem wskazał, i rzekła: Paniczku, kochany Paniczku, pozwólcie, ażebym wam przyszłość waszę przepowiedziała; dajcie mi rękę.

— Daj mi pokój, stara, odparł Waclaw odsuwając się od niej. Jam nie ciekaw mojej przyszłości, a tém bardziej twoich bredni.

— Nie żałuj, Paniczku, grosza dla ubogiej, nie skąp jej na chwilę ręki twojej, nie będziesz tego żałował; ma ci co ważnego powiedzieć.

— Ty mnie? zapytał z uśmiechem szyderskim Waclaw. A zkadże mnie znasz? wszakżeś mojej ręki jeszcze nie widziała.

— Znam i nie znam, odpowiedziała Cyganka, i mówię ci, Paniczku, nie pogardzaj mną, bo ci mam co ważnego powiedzieć.

Znudzony tém natręctwem Waclaw dobył pieniędzy i dał jej oddalając się szybko. Lecz Cyganka pobiegła za nim mówiąc: Bóg ci zapłać! Paniczku, ale się nie odwracajcie ode mnie, bo ja mam do was zlecenie.

— Zlecenie! zawołał zatrzymując się zdziwiony Waclaw, a od kogo?

— Nie każdego my znać możemy, który z nami pomówi, lecz każdemu powinniśmy usłużyć, kto nas posili, a przytém o jaką drobną usługę poprosi. Z miejsca na miejsce przechodząc niejedno słyszeć i wiedzieć możemy, niejedno powiedzieć, co nam mówić polecono.

— No gadajże, cóż takiego? zawołał zniecierpliwiony Waclaw.

O milę ztąd nocowaliśmy dzisiaj, jak zwykle w lesie pod gołym niebem. Tam zasłabło nam jedno z naszych dziatek; trzeba było dla niego miodu, a wieś była daleko, tylko jedna szlachecka zagroda w bliskości. Pójdę tam, pomyślałam sobie, może mi litościwego nie odmówią wsparcia; wzięłam na ręce cierpiącą dziecinę i poszłam. Aż tu przed bramą ogromny pies wypadł do mnie, żem się o siebie i o robaczka mego przelekła. Ale zaraz wybiegła ze

dworku śliczna dziewczyna, jak anioł dobra, bo mnie od niebezpieczeństwa zasłoniła i żebrany dała mi zasilek. Niech jej Pan Bóg za to odplaci! A kiedym siedząc przed dworem płacz dzieciny tuliła, mile zemną rozmawiać zaczęła i naraiła mi, ażebyśmy tutaj dziś poszli, bo wiele tam będzie gości, mówiła, i niejedną potraficie zebrać jałmużnę. Potem się zamysliła głęboko i nie słyszała, com do niej mówiła; zapłakała nawet, Paniczku, aż mi się jej żal zrobiło, a potem rzekła: „Matko, jak tam pójdziecie, uważajcie tam dobrze Pana jednego.“ Tu was, Paniczku, opisała od stóp do głów i wasze nazwisko powiedziała, a potem dodała: „Powiedzcie mu, matko, że mu niebezpieczeństwo grozi, powiedzcie mu to, ale pocichu i proście go, ażeby wtenczas, gdy będzie jechał do domu, zboczył do owjej wsi z kościołem, co ją przed sobą widzicie, przed wieczorem, gdy dzwonią na pacierze. Niech przybędzie na cmentarz, a tam, gdzie świeży grób usypany, dowie się wszystkiego.“ Zamilkła i znowu łzami się zalała. Ach Paniczku, posłuchajcie jej napomnienia, bo to jak anioł ładna i dobra dziewczyna. — To rzekła i obróciła się żywo ku damom w większej liczbie zgromadzonym, aby téj i owjej fortunę i męża za lichy datek wywróżyć. Lecz Wacław stał jak wryty w miejscu, rzucając wzrok ponury przed siebie i nie widząc tego, na co zdawał się oglądać. Byłbyś wyczytał na jego twarzy na przemian wyraz szlachetnej pogardy zagrożo-

nego niebezpieczeństwa i tęsknego wdzięczności uczucia ku tej, która mu ostrzeżenie tak niespodzianym sposobem przesyłała. Po chwili namysłu zwrócił oko na chylące się ku zachodowi słońce, a nie zważając wcale na to, co go otaczało, szybkim krokiem naprzód postąpił i z ogrodu wyszedł.

Podstolina zaś, która wszelkie poruszenia Waclawa okiem zazdrości śledziła, gubiła się w domysłach nad przedmiotem rozmowy jego z Cyganką, zwłaszcza gdy spostrzegła jego wzruszenie i w końcu oddalenie się z pomiędzy goszczących. Ciekawość i niespokojność przemogły nad wszelkimi innymi względami; opuściła nagle damy Cygankami zajęte i pospieszywszy do dworu dała rozkaz śledzenia kroków Waclawa. Potem wróciła mocno wzruszona do gości, przed którymi przez resztę dnia pomieszania i wewnętrznej walki ukryć nie mogła.

Niedługo ujrzano wyjeżdżającego ze stajni jeźdźca, którego wysmukła długość, wyciągniona szyja i nachylenie naprzód całego ciała, jakby chciał własnego konia wyścignąć, znanego nam subdelegata wydawały. Napróżno oganiał się ogonem koń jego przed licznymi plagami, które na oba boki odbierał, milczący jeździec pędził, co siły starczyć mogło, za tumanem kurzu, w którym chciwemu okiem szybciej jeszcze przed sobą pędzącego jeźdźca chciał rozeznać. Długo tak gonił za nim, wstrzymując wszakże konia za każdym razem, gdy w rozproszonym kurzu choć

z dała gonionego ujrzał. Nakoniec stanął, bo tamten wpadł już do wsi i drogą jechał ku kościołowi, na górze na boku wsi położonemu, a jemu nie wypadło spieszyć za nim otwartą drogą. Dlatego zsiadł z konia przed karczma, wprowadził go do stajni, kazał mu zadać siana, a sam niebawem poza płotami wiejskich ogrodów, bliższą ścieżką, do tegoż samego miejsca pospieszył.

Mur otaczał kościół i cmentarz; w jednym rogu stała kostnica, a nad nią pochylony stary krzew jałowcu, który od dołu całą jejną jej ścianę zasłaniał. Poglądając ostrożnie przez mur spostrzegł subdelegat coś bielącego się, w zapadłym już mroku niezbyt daleko od kostnicy, przelazł przez upadłą już część muru i stanął za chroniącym go jałowcem. Bieląca się postać klęczała na grobie świeżą murawą pokrytym, a na nim siedział starzec siwą głowę na dłoniach wspierający. Nie długo usłyszano tentent konia, szcęk szabli przy zsiadaniu, otrząśnienie się pod siodłem spienionego rumaka. Niewiasta powstała, a starzec podniósł głowy do góry. Oboje zwrócili oczy ku furcie cmentarza, od której się ku nim wkrótce Waclaw zbliżył, i podawszy obojgu ręce rzekł:

— Bóg z wami, kochani dobrzy ludzie. Przybywam ku wam więcéj aby was powitać i zaspokoić, jak aby ostrzeżenia o grożącym mi niebezpieczeństwie usłyszeć. Dobrze się sprawiła stara Cyganka, a jam niedługo myślał, od kogo przyjacielska przychodziła przestroga.

— Panie starościcu, odpowiedział starzec, dzięki wam za wasze pozdrowienie. Przez nas zapewne szczerą ku wam przychylność przemawia; ale wy, Panie, czyż możecie sobie powiedzieć, żeście się szczerością nam wypłacili?

— Ojcie, przerwała dziewczica, zapomnijmy urazy, a ostrzeżmy Pana, aby rychło uszedł zagrożeniu.

— Urazy! zawołał Waclaw z żalem. Ja wasbym miał obrazić! Ach mówcie, czémże przecie?

— Drogie są chwile twoje, Panie, rzekła dziewczica. Spieszysz widzę do domu i daruj, jeżeliśmy się poważyli prosić cię, abys, Panie, stanął na chwilę u tego grobu, który codziennie nawiedzamy, gdy na *Aniół pański* dzwonią. Nie chcieliśmy, abys zbaczał z drogi do naszego lichego domu, nie przystoi dla ciebie, Panie, ta uboga chata.

— Bodajbyście, Panie starościcu, nigdy do niej nie byli wstąpili! dodał z westchnieniem ojciec.

— Ojcie, kochany ojcie, przerwała córka, dajcie pokój temu, zapomnijcie o wszystkim!

— Nie, rzekł z mocą Waclaw, mówcie śmiało, wyrzucie wasze żale, powiedzcie, w czém wam przewiniłem.

— Co? Panie starościcu, odpowiedział patrząc surowo na Waclawa starzec, czyż wam sumienie nie wyrzuca tego, żeście niepokój wnieśli do ubogiego domu naszego; żeście nie dozwolili, aby dziś w Bogu spoczywająca matka pobłogosławiła córce swojej na nowém gospodarstwie, i

ojcu podobnej nie dacie się doczekać pociechy — żeście na złe języki niewinną dziewczynę wystawili?.. Dni kilka temu dowiedziałem się dopiero, kto narzeczonego mojej Anieli uwieźć kazał; kto próżnemi tylko zaloty młodą jej głowę chciał zbałamucić, kto na nią ściągnął całą nienawiść tego Państwa, które ją wychowało.

— Chciał odpowiedzieć na te wyrzuty Wacław, i w pomięszaniu zaręczać o czystości zamiarów i uczuć swoich; lecz Aniela przerwała mu żywo:

— Nie o tém tu mowa, Panie starościcu. Nie na to pragnęliśmy widzieć Was, aby Wam jakie czynić wyrzuty. Wszakże panom wszystko wolno; a ja uboga dziewczyna mogę sobie w cichości zapłakać nad sobą samą i powiedzieć sobie: Niech mu Bóg tego nie pamięta!..... Ale dość. Ani słowa więcej. Niech to Pana starościca ani gniewa, ani smuci. Proszę tylko posłuchać cierpliwie tego, co mam powiedzieć, abyście wiedzieli, panie, co dalej począć: Zaonegdaj przechodziłam nad wieczorem przez tamten gaj nade drogą. Wtém słyszę szelest jakiś za sobą. Strach mnie ogarnął, zesłam z drogi i ukryłam się za gęstym krzakiem leszczyny, a patrząc z trwogą na zakręt drogi widzę dwóch podróżnych; jednego znałam już kiedyś, ale mało, bardzo mało. Idą wolno i rozmawiają z sobą. Aniby byłam zważała na ich mowę, gdyby jeden nie był zapytał drugiego: No i cóż też będzie za to starościcowi? — A posiedzi z jaki miesiąc

w więzy. Jeżeli nie co gorzej jeszcze, odpowiedział drugi. — Ale czy się też uda dowieść mu tego, że on kazał stracić tamtego? zapytał aierwszy! — O! podstolina nie żałuje pieniędzy, p ona póty nie ochłonie z zawiści swojej, póki go nie będzie widziała w więzieniu. — Tak mówił drugi, a ja drżałam jak listek. Dalszej ich rozmowy nic wcale nie słyszałam, i wtedy dopiero wyszłam z kryjówki mojej, gdy już byli daleko, rzewnie płacząc, bom sobie myślała: Szkoda Pannicza; co on zrobił tym ludziom i Pani podstolinie? Wróciwszy do domu opowiedziałam wszystko ojcu... Lecz on już więcej wiedział o demnie, i lubo był na Was zagniewany, zezwolił na to, abyśmy Was ostrzegli, co Was czeka.

— Korzystajcież, Panie starościcu, z tego napomnienia, dodał ojciec, i nie traćcie czasu.

Uniesienie malowało się na twarzy Wacława, iza błyszczała w oku, podał przyjazne ręce, jedną ojcu, drugą córce i rzekł z rozrzewnieniem: Będę korzystał z waszego napomnienia, ojcze; schronię się nie tak dalece przed zamachami zawiści, jako raczej przed wyrzutami sumienia. Bóg niech mi będzie świadkiem, że nigdy innéj nie zaślubię żony jak tę, którą tak nierozważnie na pociski złych ludzi wystawiłem.

Na te słowa szybko ruszył się z miejsca Dulski i biorąc córkę za rękę zawołał: Pójdź Anielo, oddalmy się z tego świętego przybytku, który bluźniercze śluby znieważyc mogą. Nie

wierzaj tylu kłamliwym wyrazom, a wy, Panie starościcu, jeżeliście je w uniesieniu wyrzekli, pamiętajcie na to, żeście Boga obrazili wzywając go na świadka tego, czego nigdy dopełnić nie możecie. — To mówiąc oddalił się wraz z pomieszaną Anielą szybkim krokiem z cmentarza, i zostawił niewzruszonego Waclawa, którego ten niespodziany obrot rzeczy tak mocno przeraził, iż długo myśli swoich zebrać nie mógł. Nakoniec wyszedł na nimi, wahał się czas niejaki, dokąd kroki swoje obrócić, nie śmiał pójść do téj spokojnej zagrody, w której przed jego przybyciem tak prosta i mało wymagająca szczęśliwość panowała. W godzinę potem okazał się znowu między goszczącymi, lecz pomieszany i smutną zajęty myślą błakał się między nimi jak cudzoziemiec, który obcego sobie języka nie rozumie; jak niewidomy, który między patrzącymi poomacku chodzi. Odgłos muzyki, śpiewy podchmielonych, gwar mówiących, wszystko to odurzało jego umysł. Zdawało mu się, iż kilka chwil upłynionych, które tak mocne na nim uczyniły wrażenie, były snem, z którego się jeszcze nie mógł ocucić, po którym nic pojąć i rozeznac nie był w stanie. Jedno go tylko jakby przykre widmo uderzyło w oczy: prowadząc błędny wzrok na wszystkich spostrzegł w gronie dam między kilkadziesiąt obojętnemi twarzami jeden uśmiech piekielny, jedne iskrzące się od złości oczy, które go jak nagle uderzenie tak mocno przeraziły, iż stanął, drgnął mimowolnie i potem szybko odda-

lił się ze sali, aby drugi raz tego samego nie spotkał wejrzenia.

A ojciec jego klęczał właśnie w obywatelskiem kole, ogniwami ciągle trącających się głów połączoném, gdzie nieustannie i pod różnemi figurami aktorycznemi toasty, in gratiam przyszłego połączenia się jego domu z domem podstoliny, spełniano. Gniewnie spojrział Waclaw na pijących, gdy wszedł do pokoju, i wzdrygnął się jakby zgrozą przejęty. Słyszac bełkotane powinszowania i życzenia pijących, ukrył się przed nimi i wkrótce przy podanej sposobności wprowadził z sobą ojca będącego w takim stanie, że jak trafnie mówią: o świetle nie wiedział.

R O Z D Z I A Ł V.

Nieboszczyk.

Jeszcze nie był zamrużył powiek Waclaw, pomimo że pomrok nocny przed zorzą już ustępował; mocne wzruszenie trzymało go ciągle w gorączkowym stanie. Różne straszne i przykre obrazy snuły się przed umysłem i tęskne żywiły uczucia, gdy usłyszał przede dworem hałas mocny, który coraz bliżej jego komnaty słyszeć się dawał, aż nakoniec drzwi się rozwarły, i kilku ludzi szamocących się z dworskimi starosty przemogło nad nimi i wpadło do izby, a na ich czele stary Dulski z wyrazem rozpaczony i najgwałtowniejszego uniesienia na twarzy i z dobytą szablą w rękę.

— Gdzież jest, gdzieżeś ją podział? zawołał napadając z wściekłością na Waclawa, który na widok gwałtownej napaści sięgnął już był po

szablę i stanął w obronie własnej. Powiedz, gdzie jest? oddaj mi ją, niecnoto — lub zginięsz z ręki mojej! dodał dobywając sił ostatnich.

— Wolniej starcze, odpowiedział Wacław odpiérając niedołączną napaść rozpaczającego. Wstrzymaj niewczesny zapęd, abym należycie twojej nie poskromił zuchwałości! Czegóż chcesz odemnie? Mów, o kogo się pytasz?

— O kogo? Niecnoto! zawołał Dulski do nowej z wściekłością zabierając się napaści — o córkę moję, o Anielę. Bo któż mi ją mógł porwać tej nocy, jeżeli nie ty, lub twoi słuzalcy?

— Stój ojcze! zawołał żywo odpiérając napaść jego Wacław, na Boga cię zaklinam, stój!

— Porwali ci ją? Nie masz jej więcej? Ha, wiem teraz, co miał znaczyć ten łusmiejch piekielny, co te oczy zemstą łyszczące, których pocisk tak mocno mnie ugodził! Pohamuj twój zapęd, nieszczęśliwy ojcze! Nie trafiłeś na winnego. Ja mogłem zbłądzić kiedyś, ale być podłym zdrajcą i rozpustnikiem, tego nie potrafię nigdy. Twoja Anieli porwana — a czyż się nie domyślasz czyje to dzieło? Ona, ona jedna tylko mogła go dokonać; w jej oczach była zemsta, na wargach uśmiejch tryumfu zawiści. — Idźcie co prędzej! zaprzęgać konie do powozów, dać dwa najlepsze siodłowce do dojechania! Dwóch dworskich niech siada ze mną do jednego powozu, wy, ojcze, do drugiego z waszymi ludźmi; konie pod siodłem pójdą luzem! Spieszyc się!

W mgnieniu oka niech wszystko będzie gotowe: broń i naboje, postronki, nie zapomnieć o niczem! — A czém jechali? w którą obrócili się stronę? Pójdźcie wszyscy. Nie traćmy i jednej chwili!.... Poprzysięgam opuszczając dom ojcowski, że bez niej nie powrócę.

Sposób, w jaki stary Dulski wpadł do dworu starosty, napaść jego na Waclawa, a następnie nagły odjazd tegoż z ludźmi uzbrojonymi, wszystko to były nadzwyczajne zdarzenia, które obudziły wszystkich dworzan prędzej, jak się zwykli byli budzić. Hałas zrobił się wielki na dziedzińcu przy odjeździe sprzymierzonych; zgromadzeni ludzie długo patrzeli za nimi i różne czynili domysły nad przyczynami napaści, zgody i przymierza. Dopiero gdy wszystkie wyczerpano domysły, gdy się z dziedzińca rozchodzić zaczęto: wynurzył jeden z dworskich zadziwienie, że ten hałas nie obudził starosty; drugi rzucił kwestyą, czyby nie wypadło obudzić go i zawiadomić o tem, co się stało, aby mu dać sposobność rychłego zaradzenia niebezpieczeństwu, na które się syn jego oczywiście narażał. Po krótkiej naradzie poszedł marszałek do sypialnej komnaty, uwiadomić pana swego o wszystkiem co zaszło, a reszta dworzan zwolna za nim ku dworowi postąpiła i przedpokój zaległa. Ledwo że się zgromadzili, aby w cichości na powrot marszałka oczekiwać, gdy się obił o ich uszy przeraźliwy krzyk z pokoju pochodzący. Najspieszniej pobiegli za tym odgłosem i potra-

cili się z marszałkiem, który blady i przelęknioty z izby sypialnej uciekał. — Coż się stało? zapytano go. — Nie żyje — była ledwo wybełkotana odpowiedź, na którą wszyscy do pokoju wpadli i apopleksyą tkniętego starostę w łóżku bez duszy spostrzegli.

Zamięszanie było wielkie. Wszyscy się wzięli do ratunku; każdy co innego doradzał i próbował, lecz wszelkie usiłowania były daremne; bo starosta, marząc po pijanu o przyszłym szczęściu syna, zasnął snem wiecznym, gdy głowa jego, tak długo obojętna na częste zajęcia winem, uderzenia krwi wytrzymać nie zdołała. Skoro tylko po długich probach i usiłowaniach miano zupełne przekonanie o zgonie pana; zmieniła się raptownie scena. Wszyscy odstąpili od martwego ciała i spojrzeli po sobie, co dalej czynić. Wszyscy szukali okiem marszałka, jako zastępcy nieobecnego nowego pana. Lecz ten wymknął się najpierwszy z izby, nie ukazał się więcej we dworze, a w parę godzin potem nie było go nawet w granicach starostwa, którym w imieniu pana od wielu lat zawiadywał. Bezpiecznie jechał dwoma ładawnymi wozami do własnej wioski, o podał z tamtąd od dawna pod obcym nazwiskiem kupionej.

Ten przykład przez naczelnika całego dworu dany znalazł natychmiast licznych naśladowców, i każdy w swoim zawodzie starał się zapewnić sobie udział w puściznie, bez pana i opiekuna pozostałej. Koniuszy pobiegł do stajni

i przebiérajac miéędzy końmi żałował tych, które starościc z sobą był zabrał, dwa jednakże odsta-wić i lepiej karmić zalecił. Szatny pospieszył z żoną do garderoby i kilka pasów tymczasowo jéj starannéj opiece poruczył. Piwniczny ustawił sobie rząd butelek pod oknem, które wieczorem miał w bezpieczniejsze miejsce przenieść, i anta-łek pode drzwi podłożył; lecz próbując z kilku zapleśniałych butelek i z kilku sądków wina skończył na tém, iż przy swojej zdobyczy, jakby dla lepszego jéj upilnowania, pozostał. Widząc drzwi otwarte zakradło się za nim do piwnicy kilku pacholków, którzy uprzedzając jego zamia-ry to wypili, to wynieśli wino na bok odsta-wione. Przez cały dzień uwijało się wielu ludzi na drodze od gumien do wsi, a każdy dzwigał ciężki worek na plecach. Kuchty, forysie i psiarkowie opuścili właściwe sobie zatrudnienia, bądźto w kuchni, bądź w kredensie, bądź nako-niec w ogrodzie, łupu dla siebie szukali, mało o to dbając, że się pieczenie na rożnach paliły, że konie żłoby gryzły, i psy nieznośnie w psiar-niach wyły.

Minał dzień jeden i drugi w tém bezkró-lewciu, w którym się starostwo całe i dwór zmar-łego pastwą wyuzdanych dworzan stały. Ro-zeszła się tymczasem po okolicy wieść o zgonie starosty i niebytności syna, i o rozprzężeniu wszystkich ogniów uległości domowej między dworskimi, tak dalece, iż najbliżsi sąsiedzi w prawdziwie obywatelskim duchu postanowili wzięść

w opiekę dom osierociały, i zająć się oddaniem ostatniej przysługi zmarłemu współobywatelowi. Zdano tę czynność na Pana Podkomorzego, który jakkolwiek mniej przychylny dla starosty, jeszcze od czasu szkolnego pojedynku Wacława z jego synem, nie wymówił się przecież od tego, i nie szczędząc ani pracy, ani nakładów sprosił okoliczne sąsiedztwo na pogrzeb, sam udał się na miejsce, uśmierzył wyuzdanych dworzan, surowością wszystko w karby wprowadził; zebrał co mógł ocalić pozostałości po zmarłym i urządził wszystko tak, aby obrząd żałobny odbył się z okazałością stopniowi zmarłego odpowiadającą.

W owej sali, w której niedawno rozlegały się wesołe okrzyki goszczących i odgłos przygrywającej kapeli, gdzie uczestnikom zabaw starosty zdawało się poniekąd, że głos jego co chwila da się słyszeć, było teraz cicho i ponuro. Kiedy niekiedy przerywał tylko milczenie kapłan, żałobne pienia przy zmarłym odśpiewujący. Lud wieśniaczy cisnął się do wzniesłego katafalka, na którym poczwórny rząd gromnic oświecał rażącym blaskiem znikome szczątki, które za chwilę ciemność grobu pokryć miała. Liczni obywatele z okolicy, liczniejsza jeszcze szlachta zagrodowa, która w starości popularnego i gościnnego pana czciła, gromadziła się przede dworem i kolejno wystawione ciało odwiedzała, a każdy oddalając się po cichu Pozdrowienie anielskie odmawiał.

Nadeszło później duchowieństwo z plebanii, i po zwykłych obrządkach wzięli dworzanie

trumnę na barki, a panowie znakomitsi całun, którym była przykryta, na rogach trzymali. Gdy tak orszak ruszył ze dworu poprzedzony śpiewającym duchowieństwem, i gdy przy bramie dziedzińca dworzanie trumnę na ośmiokonny karawan wstawili; wystąpił najstarszy wiekiem z pomiędzy obecnych obywateli, zatrzymał wóz żałobny i w ten sposób przemówił:

— Pohamujcie *fervidas rotas*, któremi w naszym impecie te znikome relikwie powieźć chcecie ad *tumbam*. *Nieuhamowane* w imprezie swojej *fatum krolowi* wielkiego konsyliarza, nam wszystkim poufałego zabrało przyjaciela. Godzien bowiem wielkich i wszystkich cnót *in Repub.* mądry i życzliwy *in Curia* krajowi, aby każdy śmierć jego *in fato Reipubli.* licząc powinnym onę przyjął żalem. Dobrze hartowna natarłszy śmierci kosa siekła i piekła, cięła i wzięła, porwała łupem, położyła trupem *Illustrissimum nec non dilectissimum* starostę naszego. Jakieżto nas uderzyły *fati rerumque vices?* Oto posępne alternaty po pogodnej chwili, fortuna przy nieszczęściu, przy splendorze umbry! przed chwilą uciechy *et nunc dolores!* Tak ciężkie zadała nam ciosy *acerba fati necessitas*, na karku natury ludzkiej krwawą śmiertelności prawie ręką zapisana, iż jakoby *coloniam funerum* z narodu ludzkiego założywszy, nigdy mu ciężkich a codziennych wyprzągać nie dopuszcza żalów, i nie respektując na żadne osoby, żywot i samym Dobrodziejom naszym w oczach naszych

wydziera, nas w pośrodku płaczów i lamentów zostawiwszy, a pociechy w żółć nader gorzką zamieniwszy. Na co narzekać trudno i daremno. Raczej tedy przy tém *flagellum domini manum*, która nas *tetigit*, całując do należytych zacnemu ciała *supremis officiis* udać nam się należy. Bo któż niewiadomy nieuchronnych dekretów boskich? któż niewiadom omylnych świata nadziei? kto nie widzi codziennych śmiertelności wizerunków? któż się nie przypatrzył niemiłościwej nad naturą ludzką *exekucyi*? Ta że padła na godnej pamięci *prostrati hic Starostae* osobę, trudno nie sarkać, trudno *non dolere* na roztargnione przyjaźni naszej *vincula* i rozdwojone affektów ogniwa! Teto są świata tego a życia naszego *delicje*, te wszystkie coś obiecujące *sperance*, te najpewniejsze *prac* naszych *pożytki*! że nam się zda, jakobyśmy *świtać* poczynali, a my *ad Oceanum tendimus*. Ciężkie tylko pamiętnych *pociech* wydają się *suspiria*, ozdoby wszystkie nasze czarnym *powłócząc* cieniem, a obfitemi miasto *konsolacyi* karmiąc się *łzami*, w *boleści* serca takowej *czekając* *godziny*, która *ad eam nos* prowadzi *metam*. Często *kroć fata*, lubo ich *decreta infallibilia decernunt*, do nas *inverso* idą *rerum ordine*. Oto i ze mną postąpiły *opak*, *ordynans* taki uczyniwszy, abym *przemawiał* nad *grobem* tego, którego *mortis* miałem być *słusznie antecessor*. Dlatego też *serdecznie dolens tanti vivi fato* przed tą *Berecynią* 'żałości *drożdże* *rozlewam* *uprzejmości*.

Te wówczas tak wymówione peryody, które *Swada polska* *) na wieczną rzeczy pamiątkę zachowała, jakkolwiek przez zawołanego w okolicy mówcę wyrzeczone i za wzorowe przez wszystkich poczytane, nie wzruszyły jednakże nikogo, ani w nikim rzetelnego żalu nie wzbudziły. W całym zgromadzeniu nikt istotnie osoby nieboszczyka nie żałował, nikt go z tkliwem uczuciem do grobu nie odprowadzał. Jeżeli kiedy niekiedy słyszano utyskiwania nad poniesioną stratą, było to żałowaniem gospodarza gościnnego domu, i chwil swobodnych w jego towarzystwie spędzonych. Cały obrząd żałobny odbył się z przyzwoitą okazałością, ale nikt łzy nie uрониł. Każdy dopełniał obowiązku sąsiedztwa i przyjętego zwyczaju, a wszyscy radzi byli tej chwili, w której po skończonych obrzędach na stypę pójść mogli.

Zgodziłbym się na to, aby dzieci podawszy sobie bratnie ręce, lekkimi skokami świeżo usypaną mogiłę okrążały; bobym w tém widział obraz nieustannej kolei, końca i poczęcia. Lecz biəsiada dogadzająca chciwości jadła i napoju, to zwierżęce używanie życia w chwili, gdzie wszystko znikomośc jego przypomina, jest obrazającą sprzecznością, poniżającym obrazem słabości istoty ludzkiej, przewagi zwierżęcia nad istotą myślącą. Pomijam przeto szczegóły tej

*) *Swada polska*, dzieło z 17 wieku, zawierające przykłady wymowy.

uczty i o podał od długiej sali, w której zdrowie pogrzebanego i grzebiących spełniano, w wąwozie dzikimi zaroślami pokrytym widzę Waclawa, który zwolna do rodzinnej strzechy zmierza. Ciężkie obłoki pokrywały całe niebo, a ponury odgłos grzmotu z dala lecz ciągle warczał w najciemniejszym chmur kłębie. Powstający wiatr rozpędzając je po całym przestworze i wąwóz pokrył pomroką, i Waclawa z głębokiego wyprowadził zamyslenia. Zatrzymał konia, rzucił okiem na całą okolicę, mocne łyśnienie i silny łoskot grzmotu przeraziły go niesłychanie; zadrzał cały, a niezwykłym strachem przejęty wraził w bok ostrogę koniowi i czwałem ku domowi pospieszył. — Ulewny deszcz i pomrok wszystko ukryły przed okiem jego. Dla przerażenia, dla ulewy rychłego szukał schronienia, wpadł na dziedziniec, zsiadł z konia, mileżący oddał go w sieni stojącemu człowiekowi i sam pospieszył do sali, z której dochodziły do niego znane mu krzyki goszczących.

Wrażenie mocnego połysku i huku gromu, które przed chwilą tak mocno przeraziły Waclawa, niczem nie było w porównaniu z tém, które różnobarwne szeregi złowróźbnych gości na nim uczyniły. W pierwszym przerażeniu zadrzał, zimny pot okrył czoło, cofnął się, drzwi zatrzasnął, aby usunąć z przed oczu przykry obraz, który widmem być sądził. Po chwili odetchnienia sięgnął gwałtownie za klamkę, otworzył drzwi szeroko, wpadł pomiędzy goszczących, a rozpy-

chając tych, co mu przeszkadzali, stanął u samego stołu i silnym głosem krzyknął: Kto tu umarł? Czyja to stypa? — Runęły ławy; przerażeni goszczący zaczęli się pchać, tłoczyć i przewracać, a on rzucił dzikiem okiem na koniec stołu tam, gdzie ojciec jego zwykł siadać, i rozpychając wszystkich do tego miejsca się pomykał, póki się nie przekonał, że dobrze widzi; potem wstrzymał się nagle: Niemasz go! zawołał i padł bez zmysłów między rozpierzchających się na wszystkie strony gości. —

R O Z D Z I A Ł VI.

Koło Chorągwi pancernej.

Co się dalej stało z Wacławem? tego teraz powiedzieć nie mogę, boby to było przeciwko wszelkim prawidłom sztuki pisania powieści, a raczej nęcenia czytelników. Cóżby mi zostało na potém, gdybym teraz los jego przyszły objawił? Wolę tak zrobić jak to dziecko, którego się pytają, gdzie się schował braciszek pod stołem siedzący, i powiedzieć: „Ja wiem, ale nie powiem.“ Chciałbym sobie nawet tak postąpić i z drugim a głównym tej Powieści bohaterem, chciałbym także o nim nic nie mówić i tak go pod rozmaitemi kształtami ukryć, aby się dopiero w końcu wykryło, że ta i owa nieznajoma figura jest naszym Faustynkiem Dodosińskim. Ale ta maskarada na nic się nie przyda. Pomimo pożyczanych twarzy, nazwisk i stroju, każdy się domyśli, kogo ma przed sobą: są ludzie, którym

zwykle uszy wyglądają przez czapkę. Ale do rzeczy; bo powiedzą, że mi tylko o grubość dziełka mego idzie.

Więc tedy nasz Pan Dodosiński siedział, jakeśmy go opuścili, na lichym wózku szlachezca, który go wysoko tytułował i jako przebranego pana tam wioził, gdzie mu się najstósowniej dla niego być zdawało i gdzie mu własne jego interesa kazały. „Wieźcie mnie, gdzie chcecie, aby nie do lasu,“ rzekł najprzód Dodosiński, jakeśmy to już słyszeli; a po dłuższej chwili milczenia, gdy istotnie łos na boku pozostał, gdy pomimo największego wysilenia nie mógł żadnym sposobem domyśleć się, co się z nim stanie i dokąd jedzie? przerwał milczenie temi słowy: Słuchajcieno, Panie Bracie, dokądże mnie przecież wieziecie?

— Zajedziemy na noc do miasteczka, w którym mam grzywny z ostatniego Trybunału do pobrania, odpowiedział Assesor skrzynkowy. To już nie daleko ztąd.

— A ja co tam będę robił?

— Będzie to zależeć od woli Illustrissimi, albo dalej jechać ze mną, albo coś innego postanowić. Tobym jednakże zawsze radził, aby Illustrissimus zmienił nazwisko swoje, bo pod tém niedawno przybraném szukają go ludzie w pogoń posłani. Bezpieczniejby przeto było albo wrócić się do właściwego, albo też inne przyjąć.

— Ja was nie rozumiem. Co wy gadacie o przybraném i o właściwém nazwisku mojem?

— A jużcić *Illustrissimus* nie nazywa się zapewne *Dodosińskim*, odparł obracając się ku niemu z głośnym śmiechem szlachcic. O takiej familii w żadnym herbarzu szlachty polskiej ani litewskiej wzmianki nie znajdzie.

— Jakto? Co wy to gadacie? Cóżto, nie macie mnie za szlachcica?

— Bynajmniej, *Illustrissime*, któżby o tém wątpił. Ale ja niby mówię, że to zazwisko *Dodosiński* nie przystoi dla pana, i jest podejrzane w tej okolicy.

— Słuchajcieno, panie Bracie, to źle będzie z nami, jeżeli moję rodowitość obrażać będziecie. Bo trzeba wam wiedzieć, że mój Tatynek ma swoję fortunę, która od niego czy on od niej się nazywa, i jak świat światem *Dodosińscy* byli szlachtą.

— E, co też to *Illustrissimus* za żarty sobie ze mnie stroi. Jak mówią, zwyczajnie wolne żarty pańskie. A jeżeli to jest ostrożnością, to upraszam o pokładanie we mnie ufności; ja pewnie nikomu rzeczywistego nazwiska *Illustrissimi* nie wyjawię.

— No to dobrze. To wiedzcie tedy, że ja mam jeszcze dwa imiona *Faustyn*, *Felix*.

— A Nazwisko?

— No *Faustyn Felix Dodosiński*.

— Kiedyć *Illustrissimus* nie chce mi prawdy wyjawić odpowiedział szlachcic, ruszył ramionami, zawołał *Wio!* na konia i uderzył go batem.

— No i cóż? czy chcecie, żebym wam się zaprzysięgał?

— Wolno panu jako panu szydzić sobie z chudego pacholka, odpowiedział szlachcic. Alec to ja tylko dla dobra pańskiego mówię, bo jeżeli nazwiska nie zmienimy, to nas w pierwszym miasteczku zatrzymają dla tego, że już wiedzą o Dodosińskim i właśnie Dodosińskiego szukają.

— No a jak go znajdą, co to z nim będzie? zapytał się z trwogą nasz bohater.

— A cóż? nie zważając na osobę Illustrissimi zabiorą ją pod nazwiskiem Dodosińskiego, i do jakiej turmy lub baszty żołnierze zawloką, póki się rzecz nie wyjaśni.

— Oto znowu, ja tego niechcę. Co ja im winien? Czego mnie mają brać? Ja tego niechcę

— A to niech Illustrissimus dla wszelkiego bezpieczeństwa nazwisko odmieni.

— Jakże to zaś odmienić? To mnie znowu potem ludzie nie poznają.

— Kiedy się będzie podobało, to będzie można wrócić do prawdziwego nazwiska, ale teraz, póki się ta bieda nie skończy, póki Illustrissimus będzie się musiał ukrywać, to koniecznie tak się trzeba nazwać, by się nikt nie domyślił.

— No; a jak długo trwać może?

— Albo ja wiem? Jaki rok, albo więcej może.

— Rok — może dwa, — może trzy? ... a cóż to będzie przez ten czas ze mną? Kiedy mego

nazwiska nie będzie, toć i mnie nie będzie na świecie, toć ja będę żył mniej ten rok, albo te dwa lata; a wszystko co mi się stanie, to się nie mnie stanie, tylko komu innemu; a co mnie kto da, to nie moje będzie. A jeżeli successya na mnie spadnie, to któż ją weźmie? Nie, to głupstwo jest; ja nie odmienię nazwiska, bobym przepadł zupełnie, a ci, coby mnie szukali, toby mnie nie znaleźli.

Nic nie odpowiedział na to wszystko szlachcic, i tylko kiwał głową, bo nie wiedział, jak miał sobie tłumaczyć wyrazy Dodosińskiego, i przypisywał przebiegłości jego to, co najrzetelniejszego głupstwa było skutkiem.

Twardy mrok zapadł, nim dojechali do miasta na nocleg. Szlachcic zajął się swoim koniem i wózkiem w stajni, a gdy za naszym bohaterem po chwili przyszedł do izby karczemnej, zastał go zatrwożonego i skradającego się ze strachem ku drzwiom.

— Cóż to znowu, Illustrissime? zapytał.

— Na miłość boską, odpowiedział drżącym głosem Faustynek, nie mówcież do mnie po nazwisku, bo tu już o mnie była mowa.

— A nie mówił ja, że trzeba zmienić nazwisko? Niech się Pan niczego nie boi, siądźmy sobie za ławą, ja wszystkiemu zaradzę.

— Ale Illustrissimus nazywa się odtąd Sińskim, a niech djabeł porwie *Dodo*, które przed nim stało.

Gdy to już poniekąd powołaniem naszego

bohatera było, że wszystko tylko za natchnieniem chwili obecnej czynił, i w niczem woli swojej nie miał, uległ przeto i teraz przemocy okoliczności i słuchał przez cały wieczór, jak gawiedź w karczmie zebrana o jego przypadkach zaprzeszłej nocy rozprawiała; zrywał się nie chcący z ławy, gdy nazwisko jego wymieniano i ledwie dotrzymał placu, gdy usłyszał mówiących, iż go wszędzie szukają.

Nie powinno to dziwić czytelnika, że wiadomość o tém zdarzeniu była już doszła do miasta, w którym nasz bohater miał nocować; bo w dniu tym z różnych okolic zjechało się wielu szlachty, a z nią razem więcej jeszcze różnego rodzaju słaźalców i hałastry.

Była to bowiem nader dla miasta tego pożądana uroczystość odprawienia *Koła chorągwi pancernej*, na którą Towarzysze, jak który mógł, paradnie z ludźmi swymi przybywali.

Niezwykły hałas panował przez noc całą na rynku i przyległych ulicach. Towarzysze zgromadzeni u Chorążego sposobili głowy do rady nazajutrz nastąpić mającej, hartując się licznymi kuflami węgryzna. Trębacze pod oknami mieszkania Porucznika trąbili póty, póki dech ich nie uległ przemocy licznie między nimi krążących kwaterek; a hajduki, pajuki, dworscy i służący majątniejszych Towarzyszków krzyczeli po wszystkich stronach miasta, bądźto ubiegając się z panami swymi o prym w hulance, bądź też wszczynając między sobą kłótnie i bijatyki.

Wśród tego zgiełku przerwał raptem ciemność nocy blask światła od jednej przyległej ulicy przechodzący, tak iż myślano, że tam górze, i pospólstwo z ulicy z pospiechem biędz tam zaczynało. Lecz wkrótce poznano omyłkę, gdy się okazał w blasku licznych pochodni przed okiem zdumionego gminu paradny orszak nowo przybyłego towarzystwa, który wystawniej od innych do miasta wjeżdżał.

Piętnastu hajduków sadziło na dzielnych koniach z pochodniami w rękę po dwóch bokach rzędu pojazdów. W pierwszym karabanie siedziało dwunastu kapeli, za nimi jechał pan wojewodzie a przyszły towarzysz poszóstno; następowały trzy pojazdy z dworzanami, zamykał pochód wóz beczkami wina, puzderkami gdańskiej wódki i różnemi żywnościami z górą wypakowany.

Gdy stanął przed dawno zamówionem mieszkaniem, uciszyły się na chwile hałasy, przerwała się u Porucznika hulanka, wszyscy pospieszyli powitać upragnionego gościa i w tryumfie do Pana Porucznika go odprowadzili, aby na próżnych tylko słowach i oświadczeniach czasu nie tracić.

Po tej tak hucznej nocy nastąpił cichy bardzo poranek, w którym pobudka trembacza, nikogo do wstania nie pobudzająca, samą tylko cichość przerywała. Koło południa dopiero, orzeźwiwszy się każdy u siebie lub u zamożniej-

szego kolegi kieliszkiem wódki i jakim takim śniadaniem, zebrali się towarzysze do chorążego na właściwe koło. Tam zasiedli ławy około stołu rozstawione; naprzód namiestnik przy chorążym, a dalej inni kolejną starszeństwa, i wysłuchali długiej mowy powitalnej, w której się wszystkim w ogólności, i każdemu w szczególności komplement od przemawiającego dostał. Po skończonej mowie wysłano dwóch młodszych towarzyszy do pana wojewodzica, który, jako nowy towarzysz, pierwszy raz miał pod chorągiew podjeżdżać, zapraszając go imieniem całej kompanii do koła rycerskiego.

Szeregowi już stali w paradzie na rynku przy odgłosie trąb. Wyniesiono chorągiew z izby, całe towarzystwo wyszło za nią i stanęło naprzeciw uszykowanych szeregowców oczekując na przybycie nowego kolegi. Niedługo ukazał się na dzielnym rumaku, którego maść kara połyskiwała pod słońcem, a kita ze szklanego włosa z naczelnikami, dyamentami sadzonemi, zdawała się ogień rozrzucać na patrzących. Na długim aż do nóg spadającym dywdyku jedwabnym tureckim, suto złotem haftowanym, upięta była kulbaka turkusami wykładana, ze złotolitemi strzemionami; a na piersiach konia odbijały się na tle czarném perły, któremi był obsadzony buńczuk za poruszeniem rumaka na wszystkie powiewający strony. Sam wojewodzie panczerem okryty miał na głowie misiurkę, nad którą unosiła się kita z piór farbowanych w tulejce kameryzowanej o-

sadzona; na lewem ręku miał tarczę perlami i drogiemi kamieniami sadzoną, u boku również ozdobny sajdak farbowanemi strzałami napelniony, a w prawem ręku trzymał proporzec. Za nim szło trzech pocztowych, którzy za niego służbę odbywać mieli. On zaś sadząc dzielnie na koniu stanął pod chorągwią, obrócił się na koniu i machnął proporcem w jedną i drugą stronę, poczem zsiadłszy z konia zbliżył się do nowych towarzyszków broni, którzy powinszowawszy mu wprowadzili go do izby. Tu nowy Towarzysz oddał pokłon dowódcy swemu i przemówił do niego w wyrazach dawno dla niego przez jednego z dworzan ułożonych; a zarekommendowawszy się tym sposobem braterskiej przyjaźni wszystkich wyszedł do przyległej izby, aby się rozebrać ze zbroi po czém wrócił do kompanii i zasiadł miejsce swoje po ostatnim Towarzystwie.

Niedługo trwała ta rada; krótko odbyły się wojskowe sprawy, bo wszyscy tęsknili za ważniejszymi dla nich czynnościami, jedni nadzieją posiłku, a drudzy przejęci otuchą otrzymania jakiegoś udziału w stawkach, któremi Pan wojewodzie chojnie obsadzać będzie karty. Łatwo się domyśleć, że jednych i drugich niepłonne były nadzieje, bo to był ów wiek nieszczęśliwej wesołości, który Polska na biesiadach trawiła, niepomna na to, jak długo jej sił i możności do wytrwania na tych ucztach starczyć będzie.

Nasz Faustynek zapomniał o swojej biedzie, patrząc na tyle nowych rzeczy, na tyle świetnych

ubiorów, i cieszył się wspomnieniem na szczęśliwe chwile, które niegdy na dworze starosty przepędzał, gdy słyszał odgłos wiwatowej muzyki i gdy widział oknem goszczących Towarzyszów i kolejny kielich między nimi krążący. Nie raz patrząc na to uczuł chęć wejścia do izby i pełnienia tamże obowiązków, w których, jako dworzanin starosty, pewnej nabył wprawy: wstrzymywała go tylko od tego najprzód ta myśl nowa, która właśnie co umysł jego zajęła, że został panem, i powtórne obecność szlachcica, który go do tej godności wyniósł i który go teraz do tego koniecznie chciał nakłonić, aby się dał poznać innym panom i stał się uczestnikiem ich uciechy.

Lecz Faustynek, jak wiemy, nie szedł nigdy za własnem natchnieniem, ani nawet za obcą namową, i dla niego trzeba było jakiegoś nadzwyczajnego zdarzenia, któreby mu dało popęd i wprowadziło go na taką scenę, na jakąby się sam przez się nigdy wystąpić nie odważył. Widząc nasz szlachcic, *assesor skrzynekowy*, że z nim nic nie poradzi, a nie mogąc znieść dłużej widoku mijających go potraw i kielichów zostawił upartego przy oknie, a sam się wcisnął między podochoconych gości, aby przez przypomnienie się łasce jednych i przez zarekomendowanie się innym dójsć przecie do pożądanej kolei kufłowej.

Faustynek pozostał na swoim miejscu, a ponieważ stał jednym z pierwszych u okna, otoczony przeto został niedługo licznem pospółstwem i żydostwem, które przynęcone ciekawością tło-

czyło się silnie i biednego bohatera naszego coraz mocniej do okna przypierało. Ociérał pot z czoła, rozpierał się ile mógł nieborak, niekiedy łokciami odpierał tloczących się na niego, lecz pomimo trudności położenia swego nie chciał ustąpić z miejsca: tak go mocno zajmowało to, co się w izbie działo.

Gdy biesiadujący wstali od stołu i do drugiej izby przeszli, rzuciła się zgraja dworskich i niższych służalców na niedojadki i na niewypróznione gąsiory wina. Tu dopiero wzięła Faustynka pokusa wmieszania się jako aktor do właściwej sobie czynności. Miał bowiem przed sobą pole okazania nabytej dawniej kwalifikacyi na prawdziwego dworskiego, widział łatwość zaspokojenia głodu, który mu tym bardziej dokuczał, im więcej go do okna przyciskano. Dlatego ośmielony wrzawą, która w izbie panowała, zaczął po kilka razy rozmowę z bliższymi okna dworzanami, przymawiał im się o posiłek i na ostatku widząc, że prośbą niczego nie dokaże, a spostrzegłszy napitego dworzanina, który się z pełnym kuflem ku niemu zbliżył, powziął myśl wyrwania mu go z ręki, aby pragnienie ugasić. W tym celu przechylił się oknem do izby, a gdy sięgał z daleką ręką po zdobycz swoją, wyrzucił właśnie jeden z dworzan jakieś ogryzki między pospólstwo, które cisnąc się za niemi do okna wysadziło przechylonego Faustynka tak, iż wtedy, gdy już dosięgał kuffla, znalazł się, sam nie wiedząc jak, głową w izbie blizki podłogi, gdy

nogi jeszcze za oknem uwięzione były. To tak pocieszne położenie jego nie uszło bacznosci jakkolwiek podchmielonej tłuszczy: łatwo się domysleć na jaką myśl sąznista okrągłość odwrotnej strony naszego bohatera wszystkich naprowadziła.

— A dalejże po nim! zawołało dwóch hajduków. A patrzcież, jakto uwiązł w oknie! To mówiąc schwycili go silnie za ręce, w mgnieniu oka zawinięto kontusz, a szeroki rzemień przez jednego z nich odpasany zaczął niemiłosiernie trzepać tę cześć stroju Faustynka, która mogła być znieść cierpliwie trzepanie, gdyby jego samego w niej nie było. Lecz on nie był przygotowanym na takie przyjęcie i z całej siły na gwałt krzyczeć zaczął, tak iż przemógł przecież nad głośnym chorem śmiechu, w izbie i za izbą wznieconym.

Czy traf szczęśliwy, czy też to, że krzyk jego do drugiej dostał się izby, otworzyły się drzwi do niej i wyszedł ów szlachcic, który tak teraz niewinnie cierpiącego Faustynka niechęący na pana był wyniósł. Już go mijał mało zważając na to, co się działo, wiedząc jak podobne swawole między dworskimi pospolite były, gdy szczęściem poznał przecież głos uciśnionego; przyskoczywszy do niego zawołał: Ach, Illustrissime, cóż się to znaczy! A wy hołysze, puście tego pana! A widząc, że mało jeszcze skutkuje pierwsza jego odezwa, przywołał z drugiej izby panów na pomoc. którzy na wezwanie szlachcica dali ratunek Dodosińskiemu. Na odgłos panów rozbiegli

się słuźalcy, a biedny nasz bohater, jnż całkiem na izbę wyciągnięty, padł jak nieżywy na podłogę i krzyczał jeszcze co siły: Gwałtu reta! lubo już trzymanie ustało.

Cierpiał on wprawdzie; bolało go jeszcze, a strach większym był od bólu. Ale tego wszystkiego potrzeba było do dalszego powodzenia, a nawet do szczęścia jego. Bo czyż mógł innym sposobem zwrócić na siebie uwagę wszystkich goszczących, do których wejść nie śmiał? z którymi się bratać nie mógł? O trzy kroć szczęśliwe plagi! które go podobnie jak nie jednego na świecie do znaczenia i fortuny doprowadziły..... Lecz nie antycypujmy.

Gdy szlachcie, towarzysz Dodosińskiego, zaręczył wszystkim, że to był pan znamienity i każdemu, kto go chciał słuchać, pod sekretem do ucha powiedział: że się pod obcém ukrywa nazwaniem, że jakiejś nadzwyczajnej doznał przygody; cisnęli się wszyscy do niego i ubiegali się o to, aby mu dać ratunek i zapewnić mu zadośćuczynienie za doznaną krzywdę. Ochłonął wkrótce, usiadł nie bez syknienia na podanym stołku, oddychał ciężko, jak po wielkiem utrudzeniu, ocięrał pot z czoła i spoglądał na wszystkich po kolei, lecz do nikogo słowa wyrzec nie śmiał, ale przyjął milcząc puhar wina, który mu na posilenie podano.

Za tym pierwszym posiłkiem nastąpiły kondolencje, braterskie powitania, przeproszenia, zgody i t. d: wszystko z towarzyszeniem kielicha, a

to póty, aż się oczy obżałowanego i przepraszanego nie zaszklily, i głowa pewnej przewagi nad resztą ciała nie wzięła. W tym szczęśliwym stanie pół snu i pół obudzenia, przechodził się Dodosiński po izbie, a raczej przepychano go z jednego do drugiego jej końca, słyszał odgłos muzyki i gwar mówiących, nie mogąc ani jednego rozeznac wyrazu, i patrzył na goszczących nie rozpoznając nikogo i widząc tylko ruszającą się gromadę ludzi, podobnie jak się przy pogodnym słońcu nieprzeliczone gromady rybek drobnych kręcących się pod słońce widzi, z których żadnej rozpoznać i jednej od drugiej rozróżnić nie można. W tym stanie przytknął się do ścieśnionego koła goszczących, gdzie mu dla tego samego lepiej było, że się miał o kogo oprzeć, i że nie potrzebował stać o własnej sile.

Ale i tutaj niedługo stał spokojnie. Zdarzyło się bowiem, że niejeden występując raptownie z koła popchnął go lub całkiem wykręcił, w miarę że z większą niechęcią od innych odstępował. Tym sposobem stało się, iż będąc z początku za wszystkimi znalazł się po pewnym czasie przy samym stole. Tu dopiero wyszedł z osłupienia na widok nagromadzonych kup złota, które połyskiem swoim oczy jego przeraziły. Otworzyły się mimowolnie szerokie usta a tłumne myśli, które bez żadnego ładu po głowie krążyły, zatrzymały się teraz przy jednym wyobrażeniu państwa i bogactwa, którego nagromadzone pieniądze znamieniem były. To wrażenie tak było

dla Faustynka przyjemném, że się już nie dał odepchnąć od stołu, a znosząc cierpliwie kułaki i popychania z miejsca nie ustąpił. Po długiem przypatrywaniu się i marzeniu uczuł nakoniec, że go ktoś schwycił za rękę i usłyszał, że mu coś do ucha szeptem; lecz nie mógł z razu zrozumieć, czego chciano od niego, a raczej nie chciał przerwać snu złotego, który jego upojony umysł bawił.

— Ale słuchajcie mnie, Illustrissime, bo tu można dziś poprzeć fortunę, rzekł do niego szlachcic, jego assystent, który stał długo za stołkiem nieszczęśliwie dziś grającego wojewodzica, i nie bez zazdrości poglądał na przechodzące do innych złoto z początku przed nim nagromadzone, słuchajcie mnie, Panie, i dopomóżcie bratu waszemu, a to Wam wyjdzie na dobre.“ —

— Jakto? co? fortuna? Komu dopomóż? przebełkotał przecież Faustynek.

— Pożyczcie Panu wojewodzicowi pieniądze, ręczę Wam, że tego nie pożałujecie.

— Co? pieniądze! zawołał Dodosiński i sięgnął z obawą do zanadtra patrząc, czy je też ma jeszcze.

— A tak, pożyczcie pieniądze Panu wojewodzicowi, bo przegrał własne, a chce jeszcze fortuny na obce szczęście tentować: a jak wygra to się z wami podzieli.

— Ey zaś, odpowiedział Dodosiński mocno ręką ściskając woreczek.

— Tak jest, Illustrissime, odparł szlachcic, jak wygra, przejdą do niego te stósy złota, a od niego do Was.

— Nie gadaj! odpowiedział Faustynek z uśmiechem coraz więcej wysuwając woreczek z zanadrza.

— To złoto w rękę naszém, mówił dalej szlachcic, przewycięży wszystkie przeciwnstwa. Ono was wróci do rodzinnej strzechy, do waszej ziemi.

— Do mojej ziemi, krzyknął Faustynek i dobył całkiem woreczka.

— Tak, tam jako pan żyć sobie będziecie.

— Jako Pan! zawołał jeszcze głośniej i tupnął nogą; puścił z ręki woreczek i wtedy dopiero za swemi pieniędzmi z żalem ręce wyciągnął, gdy już na karcie przed wojewodzicem wysypane leżały. Stój! zawołali grający na niego, gdy nie pomnąc co czyni przez stół po nie ręką sięgał. Nie lękaj się, dodał wojewodzie, czy wygram czy przegram, z lichwą ci je powrócę!

— Ani się waż ich ruszać! powtórzyli drugi raz i gdy słowami natarczywości wstrzymać nie mogli, w gnieniu oka odsunęli go od stołu i odrzonego na wszystkich grających wypchnęli.

— Była to jedna z tych chwil stanowczych, w których Faustynek zwykł się już chwycić ostatecznego sposobu, to jest, że pięścią począł zagrozić, i assesor *skrzynkowy* wraz z kilkoma goszczącymi ledwo zdołali pohamować jego zapęd. W tém usłyszano okrzyk: Wygrana! wojewodzie

krzyknął: Odplacę to mu sowicie, dajcie kielicha!
Vivat mój wierzyciel! Do Wać Pana, Panie Bra-
cie! Spełnił pełny puhar, który Dodosiński chcący
niechcący od niego odebrać i spełnić musiał.
Ten puhar dokazał tego, czego kilku goszczących
dokazać nie mogło, i tak go dobił, że o pie-
niądzach i o wszystkim w świecie do jutra rana
zapomnieć musiał.

R O Z D Z I A Ł VII.

Gość niespodziany.

— No, jeszcze jedną szklanicę, Dobrodzieju! rzekł Dodosiński do kwestarza reformata naléwając mu kufel piwa z dużego poléwanego dzbanka.

— Komu w drogę, temu czas, odpowiedział kwestarz i sięgnął z pokorą po kufel.

— W drogę? Ja was krokiem dalej nie puszcę, bo rad jestem, że mam przecie z kim pomówić.

— Ale, rzekł kwestarz obciérając usta po wypróznionym kuflu, słońce jeszcze dalekie zachodu; mógłbym zagnać moje owieczki o jakie pół mili dalej, dziś jeszcze jaką nową ukwestować. Nie chciałbym tedy, by mój konwent cierpiał na mojej opieszłości.

— A cóżto sobie myślicie, rzekł Faustynek ujmując się pod boki, czyto ja Wam nie mogę

dać drugiego jeszcze jagniaka? Czy mnie to nie stać na to?

— Nie wątpię bynajmniej, odpowiedział z ukłonem kwestarz, jeżeli łaska Pańska nastąpi. . . .

— To zostaniecie Dobrodzieju, wszak prawda? Czekaście tedy, każę owczarzowi dać wam jagniaka i wszystkie wasze ukwestowane owieczki gdzie na nocleg przytulić.

— Nie mógł się opierać dłużej takim powabnym propozycjom kwestarz. Dodosiński zawołał chłopaka, którego miał do posługi, i wydał mu stósoway rozkaz do owczarza, któremu po ułatwieniu danych zleceń do siebie przyjść kazał. — Boto widzicie, dodał po wydaniu tego rozkazu, mój owczarz to człowiek nie lada, mądry i pocieszny; on i leczyć umie i pięknie grać na fujarce. Wstawi nogę bydlakowi, kiedy się wpleczy, naciągnie ją człeku, kiedy zwichnię, i nawet w łupki wstawi, gdy złamie; a do tego umie różne sztuki: odzagna ocemienie, zdejmie urok i zadnej się czarownicy nie złąknie. — Długo jeszcze prawil podobnym sposobem o przemądrym owczarzu, i w oczekiwaniu na niego zaproponował kwestarzowi partyę maryasza?

— My nie grywamy, Panie, o pieniądze, bo ich nie mamy.

— To szkoda, bo mnie się bardzo upodobało granie w karty, od czasu jak mnie zbożacyły. Bościeto przecie, Dobrodzieju, musieli słyszeć o tem, jakem jato raz, już temu rok blisko,

niewiada jak, grał na spółkę z Panem wojewodzie-
cem. Bo trzeba wam wiedzieć, że najprzód
wzięli mi moje pieniądze pożyczonym sposobem,
stawili na kartę, a gdy ta wygrała, spolił mnie
tak, że ani ręką ani nogą ruszyć nie mógł; a
Pan wojewodziec wygrywał za mnie i za siebie,
i dał mi potem tę wioskę w zastawę za to, co
mi się od niego należało. Bo lubo mi nazajutrz
powiedział poczciwie, ilem wygrał; nie było je-
dnak pieniędzy, aby mnie zapłacić; dlatego
musiałem wleźć w tę zastawę i oto siedzę i do-
brze mi z tem. Byłoby mi jeszcze lepiej, gdy-
bym się nie musiał był opłacić temu szlachcico-
wi, co mi pożyczył kontusza i na swym wózku
woził. Oj drogo wziął za tę furmankę, poganin!
Ale wy będziecie grać, Dobrodzieju, w maryasza,
wszak prawda?

— Chyba o Zdrowański, odparł kwestarz,
chowając ręce w rękawy habita, albo o jaką je-
szcze owieczkę dla konwentu, jeśli mi szczęście
posłuży.

— A jeśli ja wygram, to co?

— To ja zdrowański za Pańskie zbawienie
odmawiać będę.

Gdy się tak umawiali o przedmiot gry,
nadszedł zamówiony owczarz i rozstrzygnął
wszczętą kwestyą tym sposobem, iż wygrywa-
jący za symplę jeden, za dublę dwa kufle piwa
wypije.

— Otóżto widzicie, nie mówił ja Wam,
jaki to mądry człowiek, rzekł Dodosiński; jak

on to dobrze umyślił. Zapewne, że będziem grać o piwo. To rzekłszy przywołał chłopaka, kazał mu być pod ręką do nalewania kufli i zasiadłszy z nimi przed sienią pod wystawką grał, śmiał się ciągle na znak radości, jaką mu ta zabawa sprawiała, lecz tymczasem wysychało mu w gardle, bo przeciwnicy jego ani za symplę, ani za dublę przełknąć mu nie dali.

Zadziwi niejednego to wielkie poważanie pana dla owczarza, jakkolwiek można je było przypisać wyższości naturalnego rozumu tego ostatniego; inna jeszcze była tej zażyłości i przyjaźni przyczyna. Pan Walenty był w samej istocie bardzo mądrym człowiekiem. Bo wkrótce po objęciu przez Faustynka wsi, w której on od lat kilku z swoją beczącą gromadą się żywił, poznał słabość głowy pana swego, postanowił wziąć go w kuratelę i przydać mu za opiekuna piękną córkę swoją, Salusię. W tym celu przykazał jej, aby się tak czysto ubierała, jakby codzień święto było, aby odłączone owce, które jej do pasania poruczone będą, na górcie pod gaikiem niedaleko ode dworu pasala, aby za spotkaniem się z panem, nie przepomniała nigdy ukłonić mu się do nóg, i *Niech będzie pochwalony* z przymileniem wymówić.

Ale nie trzeba było tej nauki, bo zalotność, jako dar wrodzony, właściwą jest każdej kobiecie, która choć w wiadrze wody przekonać się mogła o tém, że ma żywe oczy i twarz, co się podobać może. A nasza panna Salusia nie na-

leżała do rzędu pospolitych, zbyt trwale zbudowanych wieśniaczek, i przyznać jej można było, iż nie zawiodła sławy rodu owczarzy, który zwykle w Polsce z pięknych kobiet słynie. Nade wszystko trzeba ją było widzieć wtedy, gdy stojąc na owej górcie przy swych owieczkach idącego ku sobie Jegomości, to jest, naszego Faustynka, postrzegła. Wtenczas udając, że go nie widzi, obracała się tyłem w stronę, z kąd przychodził, i wyśpiewywała donośnym głosem piosnkę jaką, poruszając się w miejscu, jakby do tańca iść miała, i kiedy niekiedy tylko okiem na bok rzucała, czy też Jegomość ku niej nie zmięrza. On zaś skoro tylko usłyszał znane sobie śpiewki, wychodził niby z niechcenia za wrota, oglądał się na wszystkie strony i gdy rozumiał, że go nikt nie widzi, przyspieszał kroku, poprawiał pasa, uśmiechał się ciągle i nawet myślał o tém, jak z nią rozpocząć rozmowę.

Dnia pewnego, gdy podobną zajęty był wyprawą, umyślił, dla nadania nowego obrotu rzeczy, przestraszyć śpiewającą Salusię, i rozumiejąc, że ona go nie widzi, gdy się o kilka kroków do niej zbliżył, zawołał: Oha! Oha! Wilk! Wilk! Salusiu, Wilk!...

— Hu! krzyknęła dziewczyna, zbliżyła się ku niemu i kłaniając mu się do nóg rzekła: Co też to Jegomość robi. Owce mi się przestraszyły i oto się rozbiegły; gotowe w dworski wpaść owies.

To ja je zajmę, Salasiu, i będziesz je musiała wykupić.

— A czémżebym wykupić mogła? proszę Jegomości, odpowiedziała odwracając się niby pomięszana.

— Czém? To rzekłszy rozśmiał się, przyszła mu pocieszna myśl do głowy, ale milczał, bo jej nie śmiał wyrazić... Nakoniec po chwili milczenia dodał: Bo gdybyś ty chciała, Salasiu — i jednym krokiem dalej postąpił. Lecz w tém wpadły owce w szkodę. Zwinna dziewczyna pobiegła za niemi, a Dodosiński stał z wyciągniętymi rękoma w niepewności, co mu przedsięwzięcie wypada, i czy powaga jego pozwalała na to, aby z nią razem za owcami gonił. Wracający za pługiem parobek wstrzymał jego popęd i powaga nad zalotnością górę wzięła. Ze też to zawsze.... rzekł do siebie pocichu, ruszył ramionami i wrócił z niechęcią do dworu.

Te i tym podobne sceny drażniły tylko naszego bohatera i wzbudzały w nim uczucia, które mu żałować kazały, że między nim, jako panem, a Salasią, jako owczarką, tak wielki był przedział.

Pragnąc koniecznie zbliżyć się więcej z tą, która coraz większe na nim czyniła wrażenie, przypuścił ojca do swego towarzystwa i wysokie o jego mądrości powziawszy mienie, wychwalał go zwykle przed każdym, jakto dopiero przed kwestarzem był uczynił. Dlatego także mało

dbał o swoją przegraną, a cieszył się z tego wszystkiego, co Pan Walenty mądrego rozpowiadał, i śledził w oczach kwestarza, czy on równie wysoko jego mądrość ceni.

Tę tak wesołą zabawę przerwało nagle psów szczekanie, obrócili się goszczący i spostrzegli przed wrotami podróżnego, który z przechodzącym wieśniakiem rozmawiał. Zwieszona głowa wychudłego konia, na którym siedział, i kurz, którym był pokryty, sakwy z obrokiem i niewielki tłomaczek do siodła przypięty, okazywały, iż z dalekich stron przybywał. Rozmówiwszy się z wieśniakiem zsiadł z konia, uwiązał go u płota, zbliżył się ku dworowi i pozdrowiwszy grających rzekł do nich, kłaniając się nisko i zwracając śledcze oko na Dodosińskiego: A czy zastałem pana w domu?

— Albo co? odpowiedział tenże z niechęcią. Czegóżto chcesz, mój bracie?

— Z dalekich stron przybywam, dodał podróżny z ukłonem, i daleką mam jeszcze podróż przed sobą, a koń już zemdlął i u mnie sił niewiele. Chciałbym was prosić, Panie, o nocleg i posiłek.

— Tego się pocziwemu człowiekowi nie odmawia; a jeżeliście takim, to wam na niczém zbywać nie będzie.

— Jestem nim, odparł podróżny, ale na to żadnego Wam innego dowodu dać nie mogę, jak moje słowo szlacheckie.

— Toście szlachcicem, Panie bracie, rzekł żywo Faustynek zrywając się z miejsca, a siadajcież przy nas na ławie; a ty chłopaku, dodał, odprowadź żywo człapaka do stajni, załóż mu siana za drabinę, odepnij kulbakę i przynies juki do dworu. To rzekłszy podał nalaną szklanice nowemu gościowi, zasiadł przy nim i zapytał, zkądby przybywał, i dokąd jedzie?

— O! to długo o tém opowiadać, rzekł tenże; nie wiem, czyby to was zabawiło. Dosyć wam wiedzieć, że mnie bięda pędzi po świecie, i nie swoja do tego, dodał, ściskając mu rękę — ale niedaleki już kres mej podróży. Bo jeśli ten, co z nim mam sprawę, poczciwym jest człowiekiem; to łatwo biędę i wędrowkę moję ukończę.

— A do kogoż Wyto zmierzacie? zapytał Dodosiński.

— Do człeka, który niechcący, wiele nam biędy narobił, który nie wiedzieć jak z pomiędzy nas zginął, co go już dawno szukam, ale niezadługo, da Pan Bóg, znajdę.

— Co! Co! rzekł Dodosiński patrząc się nań ciekawie, co wy mówicie o człowieku, który przepadł, zginął, i którego szukacie?

— Coż was to może obchodzić? Wyście go wszyscy nie znali — bo tak daleko ztąd.

— Nie mówcie tego, rzekł kwestarz. Ja za kwestą daleko wędruję, a kiedy przyjdzie podróż do innego konwentu odprawić, to się czasem najodleglejsze strony odwiedzi.

— Ba! dodał owczarz, człek i także nie zawsze na jednem pastwisku owce pasał i u niejednego bywał pana, a dawniej póki się człek jednego nie chwycił, próbent był niejednego i wojaczki się zakosztowało, Bóg wie jak dalego.

— Alboż wyto myślicie, rzekł nakoniec Faustynek, że ja tutaj wzrósł na nogi? Oj, nie, ja także z daleka pochodzę. Mówcie tedy, Panie bracie, zkądże przybywacie?

— No wiecież wy, kędy Łowicz leży! slyszeliście kiedy o tém mieście? zapytał podróżny.

— Ba, alboż to się tam skopów nie ganiało na S^{ty} Mateusz! odparł owczarz.

— A czyżto nasz konwent w Miedniewicach daleko ztamtąd! dodał kwestarz.

— Co wy gadacie o Łowiczu? zawołał zrywając się z miejsca Faustynek, toć ja tam przecie byłem. . . .

Tu się zatrzymał trochę i zająknawszy się zamiast powiedzenia tego, co miał na myśli, dodał: *Nie raz*. A w spomnienie o godności kalafaktorskiej, które już było na wargach, zniknęło po krótkim namyśle.

— Więc tedy trzeba wam wiedzieć, mówił dalej podróżny wlepiając złośliwie oko w twarz gospodarza, że ja o mil parę od tego Łowicza dotąd na dworze jednego pana przebywałem.

— Co! co! zawołał Faustynek; u jednego pana na dworze? A ezy nie u pana starosty?

— A tak, u starosty. Alećto przecie nie

jeden na świecie starosta. Wyście tego pewno nie znali, bo on już umarł.

— A to nie ten, zawołał Dodosiński, bo tamten żył i pił dobrze, kiedy ja

— Tak, to zapewne był inny, mówił dalej podróżny. Otoż trzeba wam wiedzieć, że u tego starosty, co ja o nim mówię, służył dawniej za dworzanina niejaki Faustynek Dodosiński.

Na te słowa zerwał się drugi raz z miejsca nasz gospodarz domu. Zadumienie i największe pomieszanie malowało się na jego twarzy, drżał i wlepił oczy w podróżnego chcąc go poznać, a kwestarz zawołał z głośnym śmiechem:

— A cóż za głupie nazwisko *Dodosiński!*

— Czy głupie, czy nie głupie, wszystko jedno, rzekł podróżny. Dość, że ten Dodosiński przeszedł przez różne koleje, zginął i przepadł zupełnie.

— Nie, nie zginął, zawołał Faustynek, posuwając się ku podróżnemu; ale wy. . . .

— Co Wy mnie zaś gadacie, *Nie zginął*, rzekł podróżny. Toć go przecie wszędzie szukali, a gdyby go byli znaleźli, to byliby go pewnie powiesili.

Na te słowa zadrżały nogi pod Dodosińskim i usiadł mimowolnie na ławce. Zbladł i drżał cały z przestachu.

— Ba! rzekł owcarz, a cóż on takiego przeszkrobał? a spójrzawszy na Dodosińskiego dodał: Ale cóż się to Jegomości stało? Tak Jegomość błady, kieby chusta.

— Cóż się miało stać, dodał podróżny, zwyczajnie może kolka Jegomości sparła; to zaraz minie. Ale wracając się do tego dworzanina starosty, powiem wam, że teraz nie ma się czego obawiać, bo ja go mogę od wszelkiej niedoli zasłonić. Wszakże Jegomości już kolka nie kole?

— Nie! nie! rzekł z ciężkiem odetchnieniem Faustynek.

— Ale, rzekł przerywając mu kwestarz, wy coś prawicie wiele, a niceście jeszcze nie powiedzieli.

— I cóż Wam mam powiedzieć? to chyba, że ja właśnie tego Dodosińskiego szukam i już blizki jestem znalezienia go, bom się dowiedział w klasztorze, gdzie on był braciszkiem, jak go jacyś nieznajomi porwali i przymusili do tego, aby ślub dawał wykradzonej pannie; że go za to ścigali; że przez obawę zmienił nazwisko, i że gdzieś osiadł w tej okolicy. Dlatego mam nadzieję, że go znajdę i że mi się da poznać, kiedy to będzie mógł uczynić; bo na to, dodał mrugając na Dodosińskiego, koniecznie sam na sam ze mną być musi.

Łatwo pojąć, jakie było położenie Faustynka. Nie mógł żadnym sposobem przypomnieć sobie osoby, która tak dobrze wszystkie szczegóły jego życia wiedziała; przejęty był największą ciekawością i życzeniem dowiedzenia się, co się z jego rodzicami i znajomymi działo, a nie śmiał czynić żadnego zapytania nieznajomemu,

bo mu nie dowierzał. Radby był się pozbyć obudwóch gości swoich, z którymi się dopiero tak dobrze bawił, a lękał się jednakże sam na sam pozostać z nowo przybyłym, i nie wiedząc co począć, siedział jak na śpilkach, mało mówił i nieustannie na wszystkich poglądał, szukając lub oczekując od nich tej dobrej rady, której w sobie samym znaleźć nie mógł. Lecz gdy się kwestarz z owczarzem na spoczynek udali, zaczęło się największe utrapienie jego. Poglądając z obawą za odchodzącymi milczał długo, a gdy ich już widać nie było, nie śmiał jeszcze oka na nieznanomego zwrócić.

— A cóżto? nie poznajesz mnie Faustynku? rzekł podróżny, skoro sami zostali. Przedemną się przecie utaić nie potrafisz. Dobrze ci się, widzę, powodzi, i jeśli chcesz, by ci się dłużej tak działo, to się nie kryj przedemną i zrób, czego po tobie żądać będę: bo inaczej powiem przed całym światem, kim jesteś, czém byłeś i przez jakie przeszedłeś przypadki; a wtenczas skończy się państwo twoje, i kto wie jeszcze, co się z tobą stanie. I cóż, nie przypominasz mnie sobie?

— Nie, dalibóg nie! odparł ze strachem Dodosiński nie wiedząc jeszcze, czy ma ufać mówiącemu, czy się go obawiać.

— Ja jestem Srokosz, rzekł podróżny, dawny dworzanin starosty, ten sam, który tobie na weselu assystował, który ciebie. . . .

— Co, Pan Srokosz! przerwał Dodosiński,

pobiegł do niego, uwiesił mu się u szyi: A to Wason tak gadaj przecie! To Wason doprawdy jesteś ten sam Pan Srokosz! A toć mi Wason powiedz przecie: co się tam u nas dzieje? jak się ma Tatynek i Matynka moja? co pan starościc porabia?

— Co się z twoim ojcem i twoją matką dzieje, tego nie wiem, ale co pan starościc, to przez ciebie w ciężką wpadł biedę.

— Przemennie? A cóżem ja mógł przewinąć? Czyżbym ja chciał kiedy zdradzić dawnego pana mego?

— To się bez twojej zrobiło wiedzy; słuchaj tylko. Naprzód trzeba ci wiedzieć, czegoś się może i domyślił, że ciebie pan starościc przeze mnie właśnie odesłać kazał do owego klasztoru, z któregoś dziwnym zbiegł sposobem.

— Nie gadaj Wason. Toto on mnie kazał wywieźć! Cożem ja mu nieborak przewinił?

— Nie narzekaj. Czy ci to krzywda? Wszakże ci to na dobre wyszło. Ale słuchaj, co się dalej stało. Podstolina, która miała niepohamowaną złość na starościca, pozwała go o to, że jej zabił dworzanina.

— Jakto zabił? zawołał Dodosiński zrywając się z miejsca. Toć ja żyję przecie!

— Tak, ale tam o tém nie wiedzieli. Zmieniłeś nazwisko, i choceśmy ciebie szukać kazali, trudno było powziąć jaką wiadomość o tobie. Jabym się nawet o wszystkiem nie był dowiedział, gdybym się nie był spotkał przypadkiem

ze szlachcicem, który cię znał pod dawném nazwiskiem. Tak się tedy stało, że biedny mój pan straciwszy ojca swego i z nim cały majątek, nie mógł się podstolinie obronić i dziś więźą siedzi, cierpi nędzę, kiedy ty, jak widzę, we wszystko opływasz.

— Co, kochany mój pan starościc w takiej biedzie i w takim utrapieniu! rzekł smutno Faustynek.

— Tak jest, i ty jeden tylko z tego nieszczęścia wydźwignąć go możesz, wracając do nas, abys przekonał ludzi, że żyjesz.

— Ja dawno już chciałem wrócić, ale nie miałem jak; a teraz, co pan Bóg dał człowiekowi kawałek chleba, to znowu żal odjeżdżać od gospodarstwa, od wsi, w której tkwią moje pieniądze; od mego zboża, od moich świń, od moich krów i od Salusi.

— Od jakiej Salusi?

— E, to nic, to ja się tylko wygadał nie chcący.

— Kiedyś się wygadał, toć musi być prawda. Pewnie się zalecasz jakiej szlachciance z okolicy?

— E gdzie tam, to nie szlachcianka.

— Tylko co?

— Córka tego owczarza.

— Córka owczarza? A ty niegodny szlacheckiego rodu, ty głupsze jakiś! dla owczarki miałbyś tutaj pozostać? nie, z tego nic nie będzie.

— No nie, nic. Aleć mi Wason doradz, co byto zrobić, żeby się i wrócić do swoich i nie stracić moich pieniędzy, mego zboża, moich krów i S. . . .

— Prawda, że szkodaby było tego wszystkiego; ale biedny pan starościc, tego trzeba uwolnić.

— Toć przecież Wason masz rozum, to wymyślisz sposób na to.

— Jużcić jest ten sposób. Napiszesz własnoręczne zeznanie: iż jesteś żyw i cały, i że ci pan starościc żadnej krzywdy nie zrobił. Poślemy to starościcowi, a ty się udasz do twego wojewodzica i będziesz go prosił, aby ci wrócił twoje pieniądze.

— Otożto tak dobrze! zawołał Faustynek i zaczął ścisnąć Srokosza dziękując mu za myśl szczęśliwą. On zaś nie tracąc czasu usadził Faustynka do pisania, i z wielkim mozołem wymęczył na nim napisanie żadanego zeznania, i tego samego dnia jeszcze wysłał umyślnego posłańca z tém pismem i listem od siebie do starościca. Dopelniwszy tym sposobem obowiązku względem niego postanowił pozostać przy Faustynku, aby mu dopomódz w odebraniu pieniędzy od wojewodzica i znaleźć przy nim sustentacyą, póki lepszego pana dla siebie nie wyszuka.

W wieczór dnia tego, gdy się znużony podróżą Srokosz rozciągnął na kilku pękach słomy, obok łoża pana domu dla niego posłanych, i gdy już marzyć zaczynał, obrócił się nagle ku

niemu Faustynek i zawołał: Ale, ale słuchajcie-
no! a jak to będzie teraz zemną?

— Co takiego? mruknął Srokosz na pół
spiący.

— Jakże ja się mam nazywać? czy jak te-
raz, czy jak dawniej w domu? czy Sińskim, czy
Dodosińskim?

— Sińskim, mruknął Srokosz, bo to nazwi-
sko krótsze było, i łatwiejsze do wymówienia
dla usypiającego. A posłuszny nasz bohater po-
został do dalszego czasu przy ostatniej połowie
swego istotnego nazwiska.

R O Z D Z I A Ł VIII.

Sejmik.

Już słońce było wysoko na niebie, a bohater nasz zasypiał jeszcze smaczno, pomimo much, które lechtaniem swoim nos jego w mimowolny ruch wprowadzały, pomimo chrapania Srokosza, który na barłogu długie niewczasy swoje niczem przerwać się niedającym snem nagradzał. Lecz do tego jednostajnego mruczenia, które na umyśle Faustynka wrażenie odległego grzmotu czyniło, przyłączył się niespodzianie nadzwyczajny łoskot do nadciągającej burzy podobny, i huk jakiś tak silnie o jego obił się uszy, iż się zerwał nagle z posłania, i z przestrachu tak dalece siłę w nogach utracił, że się położył i Srokosza całą masą swego ciała przykrył. A to co! zawołał śmie chwyając go silnie za gardło, tak że Faustynek odpowiedzieć mu nie zdołał i całej

swęj sily użyć musiał, aby duszącego ręce ode-
rwać. Wtęm otworzyły się drzwi szeroko, trzech
ludzi zbrojnych weszło do izby i widząc pasują-
cych się z sobą na ziemi dwóch ludzi, najprzód
się ich rozbrojeniem zajęli.

Gdy oba mimowolni przeciwnicy, klęczęcy
jeszcze na posłaniu, na siebie i na przybyłych
gości spojrzeli; osłupienie pewne malowało się
na ich twarzach, gdyż nie wiedzieli, czemu się
bardziej dziwić wypadało, czy temu, że się oba-
dwa dopiero co za bary wodzili? czy też, że ich
jacyś nieznajomi i zbrojni ludzie rozbrajają?

— Któryż z was jest gospodarzem? zapytał
przerywając milczenie jeden z nieznajomych.

— On! odpowiedzieli oba skazując na sie-
bie palcami: Faustynek z tego natchnienia strach-
chu, które umie rzucać na innego niebezpie-
czeństwo, Srokosz z wewnętrznego przekonania
i zgodnie z prawdą, ale nie bez pociechy, że
prawdę miał za sobą.

— Któryż tedy z was dwóch? zapytał gło-
śniej nieznajomy, któryż z was jest Panem Siń-
skim? bo mi tego potrzeba.

— A on! odpowiedział powstawszy Srokosz
skazując na istotnego gospodarza domu, którego
trwożliwe a tylekroć już na ciężkie doświadcze-
nia wystawione serce jakies nowe nieszczęście
przeczuwało, i który, dla drżenia całego ciała,
klęczęcej postawy swojej jeszcze nie mógł po-
zrucic.

— Dalej, spieszcie się, panie Bracie! rzekł obracając się do niego nieznajomy i podając mu rękę. Powstańcie i ogarnijcie się co prędzej, bo nie mamy czasu do stracenia, a wy macie z nami jechać.

Te wyrazy głośno i surowo wyrzeczone nie przywróciły przytomności Faustynkowi. Lecz pomimo to idąc za nakazem groźnego gościa brał od niego podawany sobie ubiór, i nie mówiąc i nie wiedząc, co i po co, gotował się do podróży. Srokosz tymczasem widząc, iż się o niego bynajmniej nie turbowano, a nie przewidując żadnych pomyslnych wypadków z zamierzonej podróży swego gospodarza, wymykał się powoli z izby, lecz gdy już stał przy drzwiach i odwód dostatecznie miał zapewniony, zatrzymał się trochę chcąc zaspokoić ciekawość swoją.

— O, weźcieno lepszy żupan, rzekł nieznajomy, przypnijcie szablę do boku! boćto nie do karezmy, ale na sejmik macie jechać z nami.

— To tedy na sejmik panowie bracia spieszą, rzekł Srokosz, który posłyszawszy ostatnie wyrazy żywo ode drzwi ku nim przyskoczył.

— A cóżto z was za szlachta! zawołał nieznajomy, kiedy nie wiecie o sejmiku. My przyjeżdżamy po Was od pana wojewodzica, który zbiera silną partya, aby kazać obrać tego posłem, którego nim mieć pragnie. Jeździmy już od trzech dni po szlachcie, i mamy już trzy

drabiniaste wozy pełne braci naszych, i kilkudziesiąt tego na koniach. Wszystko tęgie cblopy, rębacze zawołani. O, słyszycie ich, jakto krzyczą, hukają i trzaskają. Dalej, spieszcie się! Bo droga daleka, a dziś jeszcze trzeba być na miejscu, aby poprzeć sprawę naszego pana, który ma silnych przeciwników.

— A spieszczcie się co tchu, Panie Faustynie, dodał Srokosz przypinając mu szablina do boku. Ja z Wami pojedę także, i nie opuszczę was na krok jeden. A gdybymci był wiedział, że to o sejmik idzie, nie byłbym wam dał spać tak długo. — Tę usłużność i wymowę Srokosza wznieciła nadzieja dawnego już nieznanego posilku, którą się serce jego na samo wspomnienie sejmiku cieszyło. Dodosiński zaś ochłonał wprawdzie z pierwszego strachu, ale ulegając rozkazom przybyłej szlachty i pana wojewodzica, gotował się na sejmik nie wiedząc, po co tam miał jechać, tém przynajmniej ucieszony, że Srokosza miał mieć przy swoim boku.

Gdy wszyscy z izby przed sień wyszli, przedstawił im się miły dla szlacheckiego oka widok, który przyczynę hałasu, co Faustynka przebudził, dobitnie tłumaczył. Trzy wozy ogromne po cztery konie zaprzężone, napełnione były różnobarwną gawiedzią; u której wasy, karabele i dziurawe buty jedynymi znamionami jednostajności były. W wysoko wysłanej słomie siedzieli i leżeli w różnym kierunku wyborcy narodowi, którzy spieszyli do Grodu, aby stanowczym gło-

sem swoim powołać ziomka na prawodawcę swego, nie domyślając się nawet tego, że ich los własny od tego wyboru zależy może. Wielu z pomiędzy nich zwieszało głowy na piersi i mrukiem tylko na okrzyki towarzyszków odpowiedziało. Patrząc na nich myślałbyś, że o przygodach krajowych rozmyślali, gdyby cię częste ich kiwanie na wszystkie boki nie przekonywało, że zasypiają dzisiaj po wczorajszej hulance, aby się do jutrzejszej pijatyki usposobić. Sen ich zapowiadał ten pomysłny skutek, bo się nie dali przebudzić krzykiem sąsiadów swoich, którzy całą siłę płuc i gardła na wykrzykiwanie karczemnych piosnek wywierali.

Byli na wozach i tacy, którzy przypomniawszy sobie dawne urazy o wypaszoną łąkę lub zabranego ze szkody konia, korzystali z pierwszej chwili bliższego spotkania się z sobą, aby wyczerpać na siebie cały zapas dobitnych wyrazów, wzajemną niechęć wydających. Szcześciem, jeżeli się każdy z nich na innym wozie, albo przynajmniej na przeciwnych końcach jednego woza znajdował, bo wtenczas kończyło się na wyrazach, które krzyki innych nakoniec zagłuszały. Lecz gdy przypadek zdarzył, że się oba przeciwnicy blisko siebie na jednym wozie znajdowali, natenczas nie można było spodziewać się, aby na ulatujących z wiatrem wyrazach poprzestali. Dlatego też widzieć mógłś jedną parę z palcami nawzajem pomiędzy włosami uwikłanemi, której głowy bliżej siebie były, jakby na to stosunki

nieprzyjaźni pozwalać powinny; inną widziałeś przeciskającą się pomiędzy szczeblami i ściągającą się pod wóz; inną jeszcze, która korzystając z chwili zatrzymania się wozów, zsiadłszy z nich zacięty krzyżową sztuką odbywała pojedynek, któremu reszta szlachty z dobytymi szablami towarzyszyła, aby w razie potrzeby słabszemu dać pomoc. Konni probowali siły swoich koni, której pomimo silnych razów batoga doświadczyć nie mogli, i która się zwykle na wierzganiu uporczywego lub do rozpacz przywiedzionego konia, a czasem nawet na zrzuceniu nielitościwego jeźdźca kończyła.

Faustynek kazał sobie do karabanu zaprządz, i przodkował wozom zajęтым przez szlachtę.

Gdy cała ta swarliwa czereda przybyła do miasta, w którym miał się odbyć uroczysty wybór Posła na przyszły sejm; nie zatrzymała się przed kościołem, gdzie się ten sejmik odbywał, ale przejechała z krzykiem przez całe miasto i zatrzymała się przed małym domkiem, z którego otwartych okien rozlegał się po rynku odgłos hucznej muzyki, zaprzestankami odzywającej się. Dowódzca oddziału ten sam, który naszego bohatera tak przeraźliwie ze snu wybił, zsiadł z konia, kazał się wszystkim przed domem zatrzymać, a sam wszedłszy do niego, stanął przed obliczem pana swego, który wzniesiony na barkach skupionych przyjaciół swoich sięgał głową do niskiego pułapu, i obydwoma rękami wspierał się na głowach dźwigających go gości, aby

środek ciężkości utrzymać. „Niech żyje kochany nasz pan wojewodzie!“ rozlegało się w różnych tonach po izbie, i chórem i pojedynczo, w miarę że mniej już posłuszny język którego z obecnych wraz z innymi z wykrzyknikiem zdążyć nie mógł. Ci, którzy jeszcze mieli nieco siły, byli skupieni we środku izby i kształcili jakby podstawę piramidy, której wojewodzie był wierzchołkiem; a ci zaś, których głowy przewagę nad resztą ciała brały, chylili się w różnych kierunkach około tej grupy, jak esy i floresy, któremi ta podstawa ozdobioną być miała.

Z wysokości swego stanowiska poznał wojewodzie marszałka swego, lubo już tylko zamgłonym okiem poglądał, i usiłując zwrócić uwagę swoich gości na niego, syknął mocno na znak uciszenia się, i jeszcze mocniej schwyił za włosy niosących go braci, aby ich uwagę ocucić. Powtórzone przez wszystkich sykanie, na znak uciszenia, rozległo się po izbie w podobnym odgłosie, jak gdy woda ze stawidła wypuszczona raptem na koło młyńskie spada. Ciągnięni przez wojewodzica za włosy schylili się za tym tak wyraźnym znakiem zniżenia głowy, i spuścili go na podłogę tak wolno i łagodnie, aż się potoczył i na stojącym przy ścianie krześle mimowolnie usiadł, zrobiwszy sobie miejsce przez rozpychanie otaczających go osób. A gdy marszałek z drugiej strony całej siły pięści i łokci dobył, aby się do pana swego dostać, zrobiło się wkrótce koło, w którym przybyły marszałek przed siedzącym

wojewodzicem mógł stanąć, aby mu zdać sprawę z wykonania danych sobie poleceń. Co jednak bez obalania ostatnich ogniw tego koła owych kiwających się esów, floresów, czyli najmocniej pijanych gości, nastąpić nie mogło; gdyż nogi ich, ledwo parciu głowy oprzeć się mogące, musiały odmówić im pomocy, gdy niespodzianie mocne parcie ze środka koła z równowagi ich wyprowadziło.

— Jaśnie Wielmożny Panie! rzekł marszałek do wojewodzica, który ani chciał, ani mógł opuścić krzesła mimowolnie zajętego. Spełniłem jak najdokładniej rozkazy pańskie, i sprowadziłem przed progi JW Pana cztery wozy i 20 koni szlachty gotowej spełnić wszelkie rozkazy JW Pana, iść w piekło za nim, lub na jego skinienie.

— Toś chwat! zawołał wojewodzie.

— Vivat! krzyknęli goście. Hej, kielicha! dodał wojewodzie. Wypijemy zdrowie mego marszałka, bo za jego pomocą stanie się po woli naszej. Partyzanci kasztelańscy w łeb wezmą, a my obierzem kogo będziemy chcieli... pereant kasztelańscy!

— Pereant! krzyknęli wszyscy, i kielich poważnej objętości okazał się natychmiast w kole wraz z dwoma pochołkami, kolejnym nalewaniem i podawaniem onegoż zająć się mającymi.

— Najuniżeńsze składam dziękczynienia JW Panu i Waszmość Państwu, mnie wielce Mościwym Braciom i Dobrodziejom, rzekł marszałek.

Ale *ante omnia* wypada braciom szlachcie dać jaki posiłek, aby się nie nudzili na czekaniu i aby nie ostygli w ferworze.

— A wiele ich tam masz? zapytał wojewodzie przechylając się mimowolnie na krześle.

— Circa czterdziestu kilku, nie licząc w to jeszcze Sińskiego, zastawnika JW Pana, który także nolens volens przybył z nami, wraz z jakimś nieznanym mi, ale wesołym towarzyszem.

— Dobrze, odpowiedział wojewodzie. Wystawić szlachcie beczkę piwa i antał miodu, a zastawnika wraz z kompanem zaprosić tutaj. Tego trzeba uczcić trochę; kto wie, na co się może przydać jeszcze.

— Niech się spełniają te rozkazy! zawołał jeden z obecnych; a my możemy tymczasem puścić w kurs kieliszek za zdrowie marszałka, bo szkoda czasu.

— Zapewne, odpowiedziano, i wykonanie szybko nastąpiło po przyjęciu wniosku.

— Kolej jeszcze nie była obeszła, kiedy nasz bohater wszedł do izby wraz z nieodstępnym Srokoszem, którego w tej trudnej i niepojętej dla siebie przygodzie za kotwicę nadziei i ocalenia poczytywał.

— A witaj, panie bracie! zawołał wojewodzie. Pijemy tu zdrowie mojego marszałka, proszę do kolei. A któż jest ten brat szlachcie, którego Waś z sobą przywiozłeś?

— Faustynek zajął się tylko odpowiedzią na pierwszą część tej przemowy, i sięgnął po pełny

kielich, który mu podawano, * ostatnie zapytanie zostawił do załatwienia samemu Srokoszowi, odwróciwszy na niego niechętnie oko od wina, którego widok go zachwycił, jakby go chciał wezwać do zabrania głosu. Nie trzeba było tego napomnienia Srokoszowi: wysunął się bowiem naprzód prędzej, jakby Dodosiński mógł być się zdobyć na odpowiedź, skłonił się nisko wysunawszy czapkę z pod lewej pachy, i machnąwszy nią zręcznie podniósł się, chrząchnął lekko, zarzucił wyłotów, namyślił się nieco i rzekł:

Jestem jak szeroki i długi
Na wszystkich panów usługi,
Teraz tylko szlachcie prosty,
Niegdy Poeta pana starosty,
Który o łaski panów się stara:
Bo zdatny do wierszy i do pułhara.

— Dobrze, dobrze! zawołał wojewodzie. Dajcie kielich wierszoklecie! Niech nam dalej duba plecie... Vivat! krzyknęli wszyscy obecni.

— JW Wojewodzie pokonał poetę! Vivat nasz pan wojewodzie!

— Nie tracąc miny czekał spokojnie Srokosz uciszenia się gości, i gdy odgłos aplauzu wojewodzicowi wzniesionego słabnąć zaczął, skłonił się i chrząchnawszy rzekł:

Póty się w pokonanych rządzie nie umieszczę,
Póki mieć będę w ustach język zdrowy jeszcze.
Bo za jego pomocą *carmina pendenda*
I dobrego *sunt* wina *pocula bibenda*.

— Głośny poklask pokrył tę improwizacją naszego poety. Dobryś! zawołał wojewodzie.

Jeżeli Waś chcesz, to pozostaniesz przy mnie i będziesz mnie rozweselał. Potrzeba mi takiego, zwłaszcza teraz, kiedy się wybieram na sejm do Grodna. Pojedziesz Waś ze mną.

Te słowa przeraziły Faustynka. Zdziwiony i trwogą przejęty na samą myśl że mu chcą odebrać towarzysza i opiekuna, otworzył usta jakby chciał co powiedzieć, a oczy to na wojewodzica to na Srokosza zwracał, jakby się chciał przekonać, czy pierwszy nie żartuje, i czy drugi przyjmie czynioną sobie propozycją, i na największe utrapienie swoje spostrzegł, iż Srokosz głębokim ukłonem za łaskę pańską podziękował. Nie mając dosyć śmiałości, aby się odezwać, gdy się passował z sobą, czy ma protestować przeciwko zabraniu sobie Srokosza, czy też, będąc pozbawiony jego opieki, wynieść się cichaczem z towarzystwa i niebawem do domu, do owczarza i do Salusi powrócić; ozwał się wojewodzie donośnym głosem mówiąc: Panowie Bracia! Dłużej czasu tracić nam nie wypada; bo kasztelańscy mogliby bez nas sejmik ukończyć. Dalej tedy, idźmy śmiało i rozpędźmy ich; a gdy przy nas plac i miejsce szlachechich obrad pozostanie, polegam na waszej życzliwości, że mnie waszym posłem okrzykniecie. Dalej Panowie bracia, za mną! To mówiąc zerwał się z krzesła, i dobywszy szabli ruszył niepewnym krokiem do drzwi, do których się cała czereda za nim cisnęła, zabiérajac z sobą odurzonego Faustynka, który *nolens volens* szabli dobyć i w tłumie na-

przód postępować musiał. Ten oddział Honoratorium wzmocniony przybyłą szlachtą Zagrodową ruszył z groźnym krzykiem prosto do kościoła, w którym się sejmik odbywał, a tam wybiwszy drzwi zaparte wpadł tłumnie grożąc rozsiekaniem tym wszystkim, coby mu odpór stawić chcieli.

Lecz nie tak łatwe było zwycięstwo, jak im się z razu zdawało. Koło obradujących zasłonięte było niezbyt licznym, lecz za to trzeźwym oddziałem szlachty, który w okamgnieniu dobył szabli i tak dzielnie odparł natarczywość pijanych stronników wojewodzica, iż pierwsi nacierający pierzchnęli po dwóch bokach kościoła, i każdy jak mógł do drzwi kościelnych się chronił. Tym sposobem stało się, iż ci, którzy tyl trzymali przy wejściu do kościoła, znaleźli się niespodzianie na samem czele nacierających, i to w położeniu tym niebezpieczniejszem, iż uciekający ich przewodzcy odcięli im rejteradę zatkawszy sobą drzwi, któremi wyjść usiłowali.

W tém niebezpiecznym położeniu znajdował się i nasz Faustynek. Nie mając ani chęci ani żadnej pobudki do stoczenia krwawej walki, chroniąc się od niej przez to, że się krył za drugimi, nie pomału się przeląkł, gdy z nie-nacka ujrzał naprzeciw siebie przeciwnika z gołą szablą na siebie nacierającego, przed którym się ani na prawo, ani na lewo, ani w tył schronić nie można było. Znając naszego bohatera wiemy już, iż w grożącym niebezpieczeństwie nabywał rozpaczającą odwagi i postępował

zwykle tak, jak tonący, który się brzytwy chwytą. Otrzymaawszy lekkie cięcie w głowę, gdy uczył krew spływającą po czole i nowy groźniejszy zamach spostrzegł, rzucił się silnie na bok ku ławce kościelnej, a przycisnąwszy całym ciężarem ważnego ciała swego chwiejących się dwóch sąsiadów swoich, sięgnął po proporzec od chorągwi kościelnej, złamał go nie mogąc wyciągnąć z kołka, w którym był osadzony, i pozostałą w ręku połową silnie przed sobą machać zaczął. Rozwinięta chorągiew stała się dla niego zasłoną, która go przed nacierającymi zakryła i plątając się pomiędzy nimi zamachy ich próżnemi czyniła. Silne uderzenie na oślep kilku w głowę odurzyło ich jeszcze bardziej, tak dalece, iż odurzeni cofać się zaczęli. To ośmieliło stronników wojewodzica przy Faustynku stojących; posunęli się żywo za ustępującymi i za przewodem chorągwi, ich szyki mieszając, razili ich szablami tak dalece, iż się po bokach kościoła rozpierchnęli i ku drzwiom głównym bocznym korytarzem zacierali.

Faustynek postępował naprzód w miarę, że machając chorągwią czuł próżne miejsce przed sobą, a za nim cisnęła się cała czereda, bądźto ośmielona jego tryumfem, bądź też przerażona tem, iż uciekający bokami ku drzwiom tył jej wzięli, i naprzód iść przymusili. Gdy tym sposobem trzeźwi sejmikujący pijanym miejsce obrad ustąpić musieli, zaparto drzwi kościoła, i nowe koło obradujących na prędcę przed głównym ołta-

rzem utworzono, które bez dalszego namysłu wojewodzica Posłem okrzyknęło.

Nie pojmując wcale wielkości bohaterstwa swego stał Faustynek pod rozwiniętą chorągwią i ocięrał sobie krew, która mu na twarz spływała. Lecz otaczająca go szlachta, po pierwszym okrzyku za wojewodzicem, wydała drugi za nim, mianując go Walecznym wodzem swoim i Zwycięzcą, i byłaby go Hetmanem okrzyknęła, gdyby od jej wyboru ta dostojność zależała.

Ale ponieważ to nastąpić nie mogło, a przecież się szlachta koniecznie czegoś domagała dla naszego bohatera; zabrał głos wojewodzie i podziękowawszy Panom braciom za życzliwe ich serca i dane dowody niezachwianej wierności i poświęcenia, dał im uroczyste słowo, iż Panu bratu Sińskiemu da niezawodne dowody wdzięczności swojej; że go zaprasza, aby mu w podróży do Grodna towarzyszył, i że tam wszelkimi sposobami ku promocyi lub ustaleniu fortuny pomocnym mu będzie.

— Co, co? jak to było? Co on o mnie mówił? zapytał Faustynek Srokosza, który, gdy niebezpieczeństwo minęło, nie omieszkał stanąć przy boku swego przyjaciela, aby choć *in gratiam* tej przyjaźni część jego sławy na niego spłynęła. Chciał on mu odpowiedzieć i przedewszystkiēm doradzić, aby JWojewodzicowi za przyobiecana łaskę podziękował, lecz głośny okrzyk *Vivat!* i tłumne ruszenie się wszystkich do odwrotu, a nadewszystko porwanie w górę Faustynka, aby

go za niesionym w przodku wojewodzicem w tryumfie z kościoła wynieść, nie dozwoliły mu tego.

Jak okręt na wzruszonych wałach, unosił się Faustynek nad głowami szlachty, i podobny do skoczka na linie przeginał się z wyciągniętymi rękami na obie strony, w miarę że z której bardziej upuszczeniem był zagrożony, i za każdym mocniejszym kiwnieniem, które wzbudzało w nim wątpliwość, czy się utrzyma w powietrzu lub legnie na ziemi, wykrzykiwał co siły: O dla Boga! Upuszczą mnie!

Nakoniec uprzykrzyło się przecie szlachcie dzwigać go; a gdy w przodku idący wojewodzica przed mieszkaniem jego z ramion spuścili, Faustynek, choć z daleka jeszcze od niego będący, niespodzianie dostał się na ziemię, i to nie tylko nogami, ale następnie i tą częścią ciała, którą się siada, chcący lub niechący.

— A bodajże was jeszcze! krzyknął nie ruszając się z miejsca. Te poganiny jakże mię oto rozbili, i odbiegli wszyscy odemnie. Panie Srokoszu, a pójdźcieżno na ratunek, dajcież mi rękę! Jakżem się potłukł. — Tak mówił i stękał Faustynek podnosząc się za pomocą Srokosza.

— E, co tam. To nie szkodzi, rzekł tenże. Idźmy z nimi; bo oni tam muszą mieć jaką grątkę, kiedy tak wszyscy naprzód spieszą. Pójdźmy.

— Ale czekajcieno, odpowiedział Faustynek. Toć powoli, bo mnie boli. A potem powiedzcie-

no, coto pan wojewodzie o mnie powiedział?
czego on chce odemnie?

— To długo o tém gadać; a tam nas tym-
czasem odjeść i odpić mogą. Rzekł Srokosz i
podpierając Faustynka pospieszył za drugimi, a
przybywszy na miejsce biesiady tak się nią za-
jął, i przyjaciela swego dobrze zatrudnił, że się
nasz bohater dopiero nazajutrz po wytrzeźwieniu
dowiedział, iż z wojewodzicem na sejm pojedzie.
Ale tego jednakże dowiedzieć się nie mógł, dla-
czego, i poco ma tam jechać?

— Kiedyć tego chcą koniecznie, rzekł sobie
po długim dumaniu, przy którym nic nie myślał,
i poszedł za nowym popędem ślepego losu, któ-
ry nim zawsze miotał.

R O Z D Z I A Ł IX.

Góra pod Grodnem.

— Poco ja tu pojechał? mówił sobie Faustynek przechodząc się z nudów nad wyniosłym brzegiem Niemna obok zwałisk starożytnego zamku dawnych Książąt Litewskich, który się wznosił na wzgórzu między parowem a bystrą rzeką, jak czatownia znakomitej twierdzy. — Co tu z sobą począć tym czasem, kiedy oni tam wszyscy swarzą się niewiedzieć czego na sejmie? Miasto jakby wymiecione, wszyscy się przysłuchują gadającym lub sami gadają. A niech was tam! — Tak sobie mruczał dalej Faustynek i plunął głośno przy ostatnim wyrazie, bo go nudota opanowała podczas sessyi sejmowej, która była celem ciekawości całej publiczności Grodzińskiej, z powodu że miano przedstawić na niej często za panowania Augusta III. powtarzaną scenę

zerwania sejmu. — Mieli coś zerwać i rozpędzić wszystko, a tu się swarzą a swarzą i nigdy temu końca niema, dodał jeszcze Faustynek otwierając usta įtak szeroko, jak ów wieloryb, co Jonasa połknął; bo ziewał głośno, wyciągał ramiona nad głowę w lewo i w prawo podobnie, jak dzisiaj telegrafy poruszenia znudzonych ludzi podrzynają. Następnie obrócił się i z wolna w półkołu poprowadził oko po odległej okolicy, która przed nim malowne swe widoki rozwijała.

Ktoby był patrzył na niego z daleka, mógł był rozumieć, że to człowiek zdolny przejąć się pięknnością przyrodzenia, który pogląda na ziemię i niebo, aby po jednej wspomnienia, a w drugim szukać nadziei. Gdy zwrócił oko ku południowej stronie, zdawało się, że gubił wejście w zakręcie bystrej rzeki, która z pod stóp wzgórze, ciemnymi sosnami pokrytego, pędzi jasne nurty swoje i przyjmuje po drodze odbijające się w nich obrazy, to lasów, to kościołów i niskich chat przedmieścia; to gmachów i ogrodów książęcych, to żywych kolorów, któremi przyrodzenie drzewa i doliny pokrywa i białych lub okopconych murów ręką ludzką nad brzegiem rzeki wystawionych. Jeżeli posunął dalej wejście i spojrział wprost przed siebie, miał widok odległych pagórków gajami pokrytych, a między zielonemi błoniami żółte kłosów niwy i bielące się piasków pasma, które się rozciągały aż do niskich z tamtej strony brzegów Niemna. Lecz wzrok jego najdłużej zabawił u samych

stóp góry, na której stał właśnie, gdzie płytsza bliżej brzegu rzeka z lekkim szumem płucze kamienie, dno jej pokrywające i sterczące nad wodą. Tam miesza się ze splawnymi nurtami cichy i wązki strumyk, samém dnem parowu do Niemna spieszący, a spadzisty brzeg przeciwległy, starymi lipami pokryty, dzwiga na grzbiecie starożytny kościółek, do którego pobożni snują się z modłami swemi po wszystkich ścieżkach góry, to raz się okazują na pochyłości, to się kryją w załamkach lub w cieniu gęstej krzewiny.

Ale nasz Faustynek nie patrzył ani na gaje, ani na wzgórze, ani na chaty, ani na pałace. Gdy poglądał ku łękowi rzeki, śledził pilnie lotu kilku dzikich kaczek, które bezpiecznego szukały koczowiska; gdy przed siebie patrzył, zwróciły uwagę jego krzyki żydowstwa kąpiącego się z tamtej strony rzeki; a gdy ciekawie poglądał w miejsce, gdzie parów dwie góry od siebie oddziela, zajęły go konie do pojenia i pławienia przywiedzione, których rzenie po całej rozlegało się okolicy.

Gdy i to widowisko razem z napojonemi i wypławionemi końmi z oczów jego znikło, ziewnął raz jeszcze do całej okolicy i zwolna bez żadnego zamiaru na dół zeszedł. Tu się nawięła nowa kwestya równie trudna do odgadnięcia, jak ta, od której się ten rozdział zaczął: *Po com ja tu zeszedł?* pomyślał sobie Faustynek będąc na samém dnie parowu i posuwając się dalej nad brzegiem rzeki szedł wydeptaną ście-

żką niechcący na górę, zapewne dla tego tylko, aby stanawszy na jej wierzchołku mógł się znowu zapytać siebie samego: *A po co ja tu wla-
złem?*

W późniejszej kolei życia swego mógł był Faustynek odpowiedzieć sobie na te wszystkie pytania, bo jak jego przyjazd do Grodna, tak zejście do parowu a tém bardziej wchodzenie ścieżką na górę, miały nader ważny wpływ na całe życie jego, i zaraz się okaże, iż nie po to szedł pod górę, aby wszedłszy zapytał się siebie samego: *Po com ja tu przyszedł?*

Na pół bowiem drogi gdy uczuł, że zuośniej było wlaźć na spadzistą górę, jak iść po prostej, i gdy stanawszy nieco, aby nowych sił nabrać, myślał nad tém, czyby nie lepiej było wrócić się nadół, jak iść dalej pod górę, usłyszał przeraźliwy krzyk niewieści, potem szelest toczących się z góry kamyków, nakoniec ujrzał coś białego prosto na siebie z pomiędzy niskich krzewin wypadającego, i chciał się właśnie usunąć z drogi, gdy przerażona i wybladła kobieta wpadła na niego, tak że nim mocno o pień wyniosłej lipy uderzyła, a sama w jego objęciach ocalenie znalazła. *O dla Boga!* krzyknął nasz bohater silnie o drzewo pchnięty, i całym ciężarem dosyć poważnej niewiasty do niego przyciśniony, i chciał się właśnie wydobyć z pomiędzy drzewa i białogłowy, aby się jednego i drugiego sąsiedztwa pozbyć, lecz dama nie władała sobą i w omdleniu głowę swoją na ramieniu jego sparła,

Nie można było jej wypuścić z rąk, raz dla tego, iżby wtenczas poprostu na ziemię upadła, a ztamtąd mogłaby się jak kamyk aż do rzeki potoczyć, drugi raz, że nietylko nie było w tém nic nieprzyjemnego trzymać w objęciu damę pięknie ubraną, nie zbyt starą jeszcze, i niekoniecznie brzydką, ale że nawet pewne miłe uczucie przejmowało całą istotę Faustynka pod ciężarem wdzięków, które mu tak niespodzianie w ręce wpadły. Dlatego téż stał w miejscu, trzymał omdloną silnie, oglądał się na wszystkie strony, czy mu kto w pomoc nie przyjdzie, i kiedy niekiedy zwracał oczy na zasnutę powieki, które mocne czarne brwi wieńczyły, i na kark śnieżny, ciemnymi pierścieniami rozpuszczonych włosów pokryty; a w tém spojrzeniu malowała się razem jakaś wewnętrzna uciecha i pewna obawa, czy było godziwém, podobnie, jak kiedy kto przez dziurkę od klucza albo przez szparę u drzwi pogląda na to, czegooby widzieć nie powinien dla tego samego, że drzwi są zamknięte.

Co to było, i co się dalej naszemu Faustynkowi przytrafiło, to w własnych słowach jego ezytelnikowi udzielić musimy.

Wparę godzin po tym wypadku, widziano zadyszanego i nadzwyczaj zajętego, jak biegł przez ulicę Grodna, wpadł do mieszkania wojewodzica, zapytał się o Srokosza, a gdy go nie zastał, jeszcze prędzej powrócił na miasto, i z domu do domu przebiegał, gdzie tylko muzyka grzmiała, lub dworszczyzna z półmiskami lub

kuflami się uwijała, pewnym będąc, że w którym z nich swego przyjaciela zastanie. Lecz ten z swojej strony troskliwym będąc o pupilla swego, który przeciwko zwyczajowi na godzinę obiadową do domu się nie stawiał, wyszedł go także szukać i opisując go każdemu pytał się przechodniów, czyby Faustynka nie widzieli? Tym sposobem doszedł aż do owego wzgórza, na którymśmy naszego bohatera zostawili, i gdy właśnie od dziadka kościelnego dowiadywał się: że jakaś wielka pani idąc do kościoła chybiła ścieżki, zesunęła się nadół i byłaby się albo mocno potłukła, albo nawet zabiła lub utopiła, gdyby ją człowiek do szukanego podobny nie był zatrzymał i uratował; w tej właśnie chwili obił się o jego uszy głos Faustynka, który przyłożywszy obieg dłonie do ust z całej go siły z przeciwległej góry wołał.

Wybiegł Srokosz z gaju nadół parowu i odezwał się Faustynkowi, który chcąc pospieszyć ku niemu zapomniał i spadzistości góry, puścił się prosto nadół i prędkiej nawet, jak sobie życzył, nie nogami, lecz całą okrągłością ciała swego, pędem toczonęj beczki całą górę przebył i odurzony, kurzem pokryty, u nóg biegnącego ku niemu Srokosza się zatrzymał.

— Cóż wam się stało? zawołał; czyście się upili? Widać było po krztuszeniu się i wypluwaniu, że Faustynek chciał mu pilno odpowiedzieć, lecz usta jego zbyt jeszcze były pełne piasku, który w kulanej podróży nazbierał, i

głowa zanadto jeszcze zmaczona, aby mógł cośkolwiek wymówić. No podnieścież się przecież, dodał Srokosz i dzwignął go do góry; a on wśród częstego jeszcze spluwania i przecierania zasypanych oczu, pojedynczemi wykrzyknikami: Oj! Aj! Tfu! przytomności oznaki dawał. Nakoniec odkrzęchnął mocno i zdołał przecież wymówić: Oj, gdybyście wiedzieli.

— No wiem, żeś uratował jakąś panią.

— Tak — tfu! uratowałem, ocuciłem — tfu! odprowadziłem do domu — tfu! bo ona była — tfu!

— Jaka ona?... Cóż Wam się dzieje, cóż-ście taki zapyrzony?

— Co mi się dzieje? — tfu! tfu! Ten przekłety piasek w gębie. Co mi się dzieje? !A, ja ledwo nie oszaleję z radości — tfu, tfu! bo to była ona.

— Ona, ona! ale co za ona?

— No z naszych stron z pod Łowicza — tfu!

— Kto z pod Łowicza?

— Moja dawna Pani.

— Co, Pani podstolina?

— A jużci. Bom ją poznał, a ona mnie nie poznała.

— Podstolina? A ona tu co robi?

— A no spadła z tamtej góry tak niby, jakto ja z tej, tylko że się nie toczyła po ziemi ale biegła rozpędzona prosto na mnie, a ja ją ścisnął, ot — tak!

— I czegoż mnie tak ściskacie, toć się mogę przecież domyśleć, jak to było.

— A jak mi wpadła w ręce, to zemdląła; a ja nie wiedząc co robić trzymałem ją, póki ludzie nie przyszli. A potem się ocuciła, i jak otworzyła oczy, to ja otworzył gębę, bom się nie mógł pomiarkować, z kąd się tu w takim dalekim kraju ni ztąd ni z owąd Pani podstolina wzięła.

— Ona się bardziej powinna była dziwić, że ciebie tu widzi.

— Eh, gdzie tam! kiedy mnie sobie wcale nie przybaczyła. Nazywała mnie Panem, dziękowała mi grzecznie, kazała się pod rękę prowadzić, uśmiechała się po drodze, rozmawiała bardzo łaskawie ze mną, dopytywała się, co ja za jeden?

— No i cóżeście powiedzieli na to?

— I cóż miałem mówić? ni to, ni owo. Albo ja wiem, jak jej miałem powiedzieć: czy jak było dawniej, czy jak teraz? Czy trzeba było skłamać, albo prawdę powiedzieć?

— A potem, czy ja wiem, co ja tu znaczę? pocom tu przyjechał?

— Jakżeście się tedy wyniwęli z tego wszystkiego?

— Ni tak, ni sak. Jakałem się: to chciałem jej wszystko powiedzieć, to potem pomyślałem sobie, że nie mogę, i na tém się skończyło. Ale gdyśmy przyszli do jej mieszkania, raz jeszcze mi podziękowała, wzięła mię za rękę, ściśnęła serdecznie i prosiła, abym ją odwiedził.

— Czy też się nie mylicie? czy pewni jesteście, że to była podstolina?

— Ba, jakżebym jęj zaś nie miał poznać!

— Co się to wszystko znaczy? Wiem na pamięć wszystkich z Korony, którzy do Grodna przybyli, ałem ani słowa o niej nie słyżał. Trzeba to wyjaśnić. — To rzekłszy wrócił do domu z swoim towarzyszem, który się przez cały dzień nie mógł uspokoić, po nadzwyczajnem zdarzeniu, którego był uczestnikiem.

Trzy dni upłynęły od owego wypadku na górze pod kościołem, który tyle niespokojności naszego bohatera nabawił; a Srokosz nie pozwolił mu być jeszcze odwiedzić powtórnie ocalonej damy, lecz sam za to, udając się za dworzanina jęgo, przebywał w jęj domu, dowiadywał się ni-by od Pana swęgo o stanie jęj zdrowia, aby przytęm mógł znaleźć sposobność widzenia jęj i przekonania się, iż się Faustynek nie mylił. Powziąwszy dokładną w tęj mierze wiadomość i przekonawszy się, iż to była w samej istocie podstolina, postanowił zemścić się na niej krzywd, jakich biedny Waclaw od niej doznawał, i niebawem się zajął wykonaniem wielkiej myśli swojej.

Trzeba mu było do tego pohamować niecierpliwość Faustyńka, który czwartęgo dnia koniecznie się do podstoliny wybierał i kładąc się spać zapowiedział Srokoszowi, że nazajutrz niezawodnie attencyą jęj swoją od-da. Ten właśnie tego nie chciał, i obudziwszy się bardzo rano cichuteńko się podniósł z posłania, zabrał buty i czapkę swemu towarzyszewi i poszedł do przy-

ległego mieszkania wojewodzica, czekać aż się Pan obudzi, aby mu zamiary swoje objawić i pomocy w ich wykonaniu błagać.

Już był kilka razy ziewnął głośno wojewodzie, jakby na pożegnaniu snu, który go opuścił. Duży wyżeł, który zawsze sypiał przy jego łożu, podniósł się, przeciągnął i obrócił do Pana ruszając ogonem, potem poszedł do drzwi i zadrapnął dwa razy na znak, że go miano na dwór wypuścić. Drapanie psa i ziewanie Pana, ucieszyły zniecierpliwionego już Srokosza; powstał, poprawił pasa, czupryny i pospieszył wyświadczyć wyżłowi przysługę, która mu miała nastreczyć sposobność przedstawienia osoby swojej obudzonemu Panu.

— Hej, który tam jest? zawołał tenże, gdy Srokosz drzwi uchylał, i dodał spostrzegłszy go. Co to? Waść tak rano! A co go tu sprwadza?

— Zawsze jedna chęć przysłużenia się Jaśnie Wielmożnemu Panu, odpowiedział Srokosz z ukłonem.

— Ej, Waść czegoś potrzebujesz, bobyś mi tak nie nadskakiwał na próżno. Wszakżem zgadł?

— Chce JWPana rozweselić.

— Aby potem co odemnie wyludzić.

— Nie, bynajmniej: aby się na kimsiś pomścić krzywdy dawnego Pana mego.

— Waść wiesz, że ja nie lubię wdawać się

w obce sprawy, ani komu dokuczać, co mi nie nie winien.

— Tu nie idzie o dokuczenie, tylko o żart niewinny, o podejście jednej pani, która nam kiedyś bardzo dokuczała. — Tu opowiedział Srokosz dawne zatargi podstoliny z Wacławem, których najprzód nasz Dodosiński, a potem on sam padł ofiarą; wyjawił tajemnicę nazwiska Faustynka i jego dziwnych przypadków, i potem tak dalej mówił.

— Otożto sama Pani podstolina, która najprzód chciała opanować sobie za męża mego dobrego Pana starościca, a potem przez proces do wieży go wsadziła za zabicie, jak ona twierdziła, jej dworzanina, a tego samego Dodosińskiego, cz dziś JW Panu ma zaszczyt assystować — też, mówię, Pani podstolina znajduje się tutaj pod zmyślonem nazwiskiem, i dziwnym trafem prawdziwie w ręce naszego Faustynka wpadła.

— Ale pocóżby miała przybierać zmyślane nazwisko? zapytał z ciekawością wojewodzie.

— Nie była ona nigdy lubiona od młodzieży naszej, odpowiedział Srokosz: bo to jest, widzi JW Pan, hic mulier, a teraz po surowem obejściu się jej z panem starościcem zupełnie się osławiła, tak dalece, iżby w całej Koronie podobno męża nie znalazła. Dlatego przebrała się inaczej i przyjechała do Grodna, aby którego Litwina na męża ułowić.

— O, nic z tego nie będzie; Panie bracie! ozwał się żywo wojewodzie. Szkoda i Litwina

dla takiego szatana. Trzeba zdjąć z niej larwę, pod którą się ukrywa i roznieść po mieście wszystko, coś mi Waś powiedział, ażeby sobie z kwitkiem ztąd odjechała. Wszak Waś w tym celu zapewne mojej żadasz pomocy.

— Nie, Jaśnie Wielmożny Panie, to niedosyć dla mnie. Ja się muszę lepiej zemścić za mego Pana; jabym chciał, ponieważ tu po męża przyjechała, dostarczyć jej go, ale tak, coby tego potem całe życie żałowała.

— Chybaby ten mąż żałował, ale nie ona. Kogoż ty tedy przeznaczasz?

— A tego samego Faustynka Dodosińskiego, o którego zabicie mego dawnego Pana uwięzić kazała; bo jak go pojmie za męża i z sobą do Korony wywiezie, to nam sama dostarczy najmocniejszy dowód niewinności Pan starościca.

— To zaśmiało, to się nie uda. Jakżeby nie miała poznać dawnego dworzanina swego?

— Już go nie poznała, bo go w własnym domu jako pana jakiego przyjmowała, wtenczas, gdy ją z niebezpieczeństwa wybawił. Inne dziś nosi nazwisko, zmienił się znacznie....

— Ale zawsze równie głupi, jak dawniej. W tém się już nie odmieni, a trudno przypuścić, aby się Podstolina na tém poznać nie miała, aby go z taką głową chciała za męża.

— O, JWPanie! głupstwo popłaca u niejednej kobiety, zwłaszcza u takiej, co chce przewodzić nad mężem, i być panią w domu. Cały sęk na tém tylko, aby Dodosińskiego miała za

pana, za bogacza.... a temu JWPan łatwo zaradzić możesz.

— A to jak?

● — Pozwalając, aby nasz Faustynek używał przez czas niejaki dworu, pojazdów i służących JW Pana, tak jakby własnych; aby JW Pan dla własnej zabawy dodał mu w potrzebie trochę złota...

— Mniejsza o to, bylebyś mnie zabawił, a na żadne nieprzyzwoitości imienia mego nie naraził.

— A, JW Panie! Niech się JW Pan tego nie obawia; a za zabawę ręczę. Boć czyż można wymyśleć co pociesniejszego nad Faustynka wielkim panem, i udającego się w zaloty do tej, u której dawniej służył. A JW Pan będziesz się mógł temu wszystkiemu przypatrzeć, towarzysząc mu kiedy niekiedy w jego miłośnych wyprawach.

— Dobrzeć to jest; ale czy się ta tajemnica nie wyda?

— O, jużto cały dwór pański i wszyscy panowie, z którymi JW Pan żyje, muszą wiedzieć wszystko, dopomagać nam i milczeć. Będzieto konfederacya przeciwko złej kobiecie.

— Zgoda na konfederacyą! Biegaj Waść i rób co chcesz, masz wszelkie pozwolenie odemnie.

Skłonił się Srokosz i pospieszył uradowanie do mieszkania swego, odnosząc Faustynkowi buty i czapkę, które w przedsionku był zostawił.

ROZDZIAŁ X.

Czterdzieści lat później.

Przepraszam bardzo czytelników moich za *salutem mortale*, które teraz uczynię, i za to, że zamiast opowiedzenia im, co się dalej działo w Grodnie, po konferencyi Srokosza z wojewodziecem, przeskoczę do razu lat czterdzieści kilka, aby prędzej do końca powieści mojej trafić, a zarazem jej początek i źródło odkryć. Przepraszam ich także za to, iż zamiast mówienia im o Dodosińskim vel Sińskim, o podstolinie, starościcu, Srokoszu i o innych osobach, z którymi znajomość zrobili w tej powieści, ni ztąd ni z owąd o sobie samym mówić im zacznę. Lecz wszak dziwactwo jest w modzie, więc i mnie wybaczyć można skoki i dziwactwa moje.

Po kilku latach swobodnego, to jest próżniackiego życia wśród zabaw z wesołymi kolegami,

i do tego za pruskich czasów, spędzonego, szczęście czy nieszczęście zrobiło mnie po śmierci najukochańszego stryjaszka dziedzicem kilku dobrych wiosek. Ledwo żem je był objął w posiadanie i nad tём myśleć zaczynał, jak stary dwór przerobić, abym w nim wielu dobrych przyjaciół mógł przyjmować i mieścić; aliści spadły na niewinną głowę moję tysiące kłopotów. Byłto właśnie rok największych przechodów wojsk francuzkich, początkowy naszego księstwa Warszawskiego, którego będąc obywatelem, tём samem i urzędnikiem, to jest, wojtem Gminy być musiałem. Po słodkiem próżniactwie trzeba było poświęcić się ciągłym i trudzącym czynnościom. To wypełniać obowiązki oberżysty w własnym domu przyjmując i żegnając codzinnie zbrojnych gości, którzy na popasy i noclegi do mnie przybywali; to uczyć się nowych dla mnie obowiązków urzędniczych, których ostatecznym rezultatem było to, żem jako Wójt sam siebie jako dziedzica ze wszystkiego ogołacał; to nakoniec czyniąc ofiarę z ambicyi ówczesnym dziedzicom właściwej, aby dostać zkądbądź pieniędzy i aby uprosić włościan, iżby nie wszyscy przecie wioski moje opuścili. Do tego wszystkiego brakowało mi tylko jednego jeszcze kłopotu, to jest, processu. I ten się znalazł wkrótce: bo kochany mój sąsiad osądził, iż to była właśnie najdogodniejsza pora dla niego rozpoczęcia wielkiej granicznej sprawy, przez którą zamierzał odebrać mi połowę gruntów jednej z moich wiosek, dowodząc, że te grunta do niego

należą; dla tego, iż dawniej do wsi mojej nie należały.

Przez środek mego pola szła jakaś linia graniczna kopcami oznaczona, a że kierunek jej był równoodległy linii granicznej mego sąsiada, wnosił ztąd bardzo naturalnie, że pole moje, aż do owych nieszczęśliwych kopców, jego powinno było być własnością. Gruntując prawa swoje na różnych gwałtownościach za życia zbyt dobrego stryjaska mego przez siebie popełnianych, zrobił mi proces *in possessorio*, a przegrawszy go, jak się spodziewał, rozpoczął natychmiast proces *in petitorio* i nauczył mnie znaczenia tych dwóch wyrazów technicznych, które odtąd zawsze przykro brzmią w moich uszach.

Zatrwożony groźnemi wyrazami pozwu i lękając się licznych świadków, których na poparcie swoich żądań przypozywał, zacząłem myśleć o obronie mojej własności i, jakkolwiek niechętnie, otworzyłem do spleśniałej skrzyni z gruntowemi papierami, aby w niej jakich dokumentów na moję obronę poszukać. Przerzucając między tysiącem szpargałów, na których zawsze te wyrazy: *Actum in Curia* napotykałem, i w których pomimo największą usilność szukając rzeczy zawsze zbłądziłem w labiryncie tytułów, nazwisk i czczych formalności, natrafiłem na pęk papierów osobno zwiniętych z napisem ręką stryja mego: *Papiery dotyczące się Dodoszów*. A ponieważ ta właśnie część pól moich, którą mój sąsiad miał ochotę mi odebrać, nosiła to nazwisko, okurzyłem pa-

piery i zabrałem się do mozolnej pracy czytania a raczej domyślania się, co one zawierają.

Niedługo dotrwałem przy tej czynności, lecz dowiedziawszy się tyle przynajmniej, iż przed kilkadziesiąt laty owe Dodosze do dóbr mego stryja wcielone zostały, umyśliłem zapytać się najstarszych gospodarzy miejscowych, czyliby który z nich lepiej, jak papiery, całej tej okoliczności wyjaśnić mi nie potrafił.

Był między nimi siedmdziesiątletni starzec, który do późnego wieku czerstwość i przytomność umysłu zachował. Powszechnie za najmędrszego poczytywany, zdawał mi się być godnym zaufania i dlatego udałem się na pole szukać starego Wojtka.

Zastałem go na swojej roli przy pługu i powitawszy zwykłym życzeniem: *Szczęść Boże do roboty*, zapytałem: czyliby nie wiedział, co mogą znaczyć kopce na mojem polu kiedyś usypane?

— A Bogać tam nie wiem, Wielmożny Panie, odpowiedział Wojtek pocmuknąwszy na woły, aby stanęły i zdejmując czapkę. Toćto była część szlachecka i do tego kawał dobrego pola, który nieboszczyk Jegomość kupił za pół darmo.

— A od kogo?

— Toć od Dodosińskiego. Dawnoćto już temu, bo ja wtenczas służyłem za fornała we dworze, kiedy on odprzedał tę fortunę nieboszczykowi Jegomości.

— A jakże się nazywała ta fortuna?

— Dodosze, Wielmożny Panie, Dodosze. Toćby to WPan powinien lepiej wiedzieć odemnie, boć za polskich czasów była koncendencya i kompromis i mnie tam wołali i kazali mi przysięgać na to, com powiedział, jak prawda była: że póty, jak te kopce, była granica Dodosińskiego; i to wszystko spisali i nieboszczyk Jegomość przykazał nam: „Zebyśwa pamiętali, jak to było!“ i pochował wszystkie papierzyska, co tam wtenczas popisali.

— Mam ja te papiery, ale nie wiedziałem, że to była kiedyś wioska. Gdzież tedy były te Dodosze?

— Nie byłać to wioska, tylko fortuna szlachecka. Oto widzi Wielmożny Pan owę gruszkę dużą, co to już przez połowę sucha: ona stała przed dworkiem Dodosińskiego. Wylatałci on mi raz skórę za to, żem wlaźł na nią po gruszki na ulegalki; pamiętam ja to dobrze. A to błoto, ojwo za gruszką, co dziś całe tatarakiem zarosło, było sadzawką za dworkiem. A tam, kędyto ten duży kamień leży, stała stodółka Dodosińskiego; lichać ona była, to prawda, aleć bywało i w niej zboże, kiedy Pan Bóg dał. A tu, kędy kopce stoją, to był las, boć i na całym polu był las, i Dodosiński miał swoje kopce w lesie, ale wyciął on jeszcze wszystko drzewo i wywlokł po trochu do miasta żydom za długi, a nieboszczyk Jegomość już tylko same zarosłe kupił. Niezłać to była fortuna, ale szlachcic był ladaco i marno-

trawnik, jeno się wieszał przy panach a gospodarstwa nie pilnował.

— Więcto on zniszczył ten dworek, czy się też spalił, czy co?

— Bogać tam spalił: nieboszczyk Dodosiński siedział w nim aż do śmierci. Ale jakci mu syn jego jedynak dzieś przepadł, to mu najprzód żona umarła, a potem i on sam nie długo za nią poszedł.

— Jakto syn przepadł? Czy zginął na wojnie?

— E gdzie tam, proszę Wielmożnego Pana; on ci też właśnie podobnym był na wojaka!... Tak zwyczajnie, rodzice jego i my wszyscy myśleliśwa długo, że on przepadł, aż on tu znowu się zjawił i był nawet niby panem, ale krótko; a jak znowu nie miał, to się potem dopominał swojej fortuny po rodzicach od nieboszczyka Jegomości, właśnie jak gdyby nieboszczyk Jegomość nie był wszystkiego zapłacił żydom, u których stary Dodosiński więcej długów zostawił, jak cała fortana jego warta była.

— Szkoda, że tu niemasz tego syna Dodosińskiego, boby mi ten mógł wiele dopomódcz w mojej sprawie.

— Jakto niema? A toć on żyje jeszcze, proszę Wielmożnego Pana, i chodzi po panach z jednego dworu do drugiego, a gdzie przyjdzie, to cały z caluchną fortuną swoją. A panowie mu dają jeść i przyodziewek, i śmieją się z niego i przez drwiny zowią go starostą.

— O gdybym mógł wiedzieć, gdzie on się teraz znajduje?

— Najpewniej się Wielmożny Pan o niego dopyta u Pana kasztelana, bo kiedy nie wędruje po świecie, to u niego siedzi.

Podziękowałem staremu Wojtkowi za te tak ważną dla mnie wiadomość, a idąc za jego radą pojechałem w kilka dni potem do P. kasztelana, o którym mi wspominał. U niego znalazłem więcej, jak szukałem; bo zrobienie znajomości z Faustynem Dodosińskim, *vulgo* starostą zwaaym, podało mi sposobność nie tylko zniweczenia zamiarów mego sąsiada, ale prócz tego materiały do niniejszej powieści, której zakończenie z ust samego bohatera słyszałem i własnymi jego słowami starać się będę oddać.

Pan kasztelan opowiedział mi był ważniejsze wypadki życia Faustynka i dodał w końcu: Ale co ożenienie się swoje, to on sam opowiedzieć musi: Każę go przywołać i użyję zwykłego sposobu rozwiązania mu języka, to jest, postawię przed nim butelkę wina, aby mu dodać odwagi i wymowy, dwa przymioty, których nigdy nie posiadał.

Wkrótce stanął przed nami nasz Dodosiński. Był to wysoki, pochyło głowę trzymający, lecz dość jeszcze czerstwy człowiek, sześćdziesiąt kilka lat mieć mogący. Rzadki siwy włos, równo ostrzyżony nad czołem, sam tylko świadczył o podeśzłym wieku jego; bo twarz tłusta mało bardzo zmarszczkami pokryta była. Na pierwszy rzut

oka poznać można było, że troski, zmartwienia i dolegliwości pożycia, które starość tylu tkliwszych ludzi przyspieszają, nie wywierały żadnego wpływu na duszę i ciało tego człowieka, który w całym życiu swoim mało czuł a jeszcze mniej myślał, i o którego się różne przygody życia, jak wały morskie o twardą skałę, bez żadnego skutku obijały.

Wszedłszy do pokoju skłonił się pokornie, nieśmiało i z pod oka poprowadził wzrok po nas obudwóch, stanął przy drzwiach, rękę w rękę włożył i zaczął ruszać niemi, jakby się umywał, i dla nabrania śmiałości kiedy niekiedy na pułap poglądał. Butelka wina już stała na stole; rzucił na nią okiem wewnętrzną pociechę wydajacem i zwrócił nagle wzrok ku oknu, jakby się tego wstydził. Pan kasztelan nalał trzy kieliszki, co znowu wyraz pociechy na twarz Dodosińskiego sprowadziło, bo ztąd wniósł naturalnie, że jeden ze trzech jemu się dostanie, gdy więcej osób nie było w pokoju.

— Proszę Asana, Panie Dodosiński, na kieliszek wina, rzekł starosta skazując na trzeci nalany, który na stole czekał właściciela. Skłonił się Dodosiński, pochyło posunął się ku stolikowi i zdala nieśmiałą ręką sięgnął po kieliszek; potem skłonił się raz jeszcze spuszczac drugą rękę ku nogom kasztelana, upił nieco wina i na swoje miejsce ku drzwiom cofać się zaczął.

— Ten Pan, rzekł kasztelan skazując na mnie, ma interes do Acana, Panie Dodosiński.

— Do mnie? zapytał tenże przerywając sobie nagle drugi łyk wina, które zwolna ciągnął z kieliszka.

— Jestto dzisiejszy dziedzic Dodoszów, dawniej fortuny waszej, miejsca, w którym się Acan rodził.

— Uśmiechnął się obojętnie Dodosiński i odpowiedział: Kiedy tego miejsca już nie masz, proszę Jaśnie Wielmożnego Pana.

— Miejsce jest, odparłem, nie masz tylko dworu, w którym się Pan wychował.

— Byłaćto tylko chałupa, rzekł Dodosiński z uśmiechem podobnym do poprzedzającego. Nie wychowałemci ja się w niej, bom z małego na dworach pańskich i w służbie u paniczów po szkołach przebywał.

— A później się i własny dwór miało, rzekł kasztelan i pokazał nachyloną butelkę, do której się Dodosiński z ukłonem i próżnym kieliszkiem zbliżył — i panem się nawet było; wszak prawda? dodał nalawszy kieliszek.

— Panem? odpowiedział z głośniejszym uśmiechem Dodosiński i popił wina. Niewiedzieć, jak się to stało, a jak przyszło, tak poszło, proszę Jaśnie Wielmożnego Pana.

— Wypijno Acan ten kieliszek, rzekł kasztelan. A gdy to zlecenie natychmiast spełnionem zostało, nalał trzeci i dodał: Oto siadaj Acan tutaj i opowiedz nam, jak się to stało, żeś został panem.

— E, e — odśmiechnął się głupowato Dodosiński i zbliżył się nieśmiało do stolika.

— Usiądź Acan, proszę, rzekł kasztelan, i my siadajmy także. Bardzo lubię słuchać tej powieści. No dalej, mój Panie starosto Siński.

— E, wolne żarty pańskie, odparł siadając Dodosiński — ja nigdy starostą nie byłem.

— A żona twoja rozumiała przez czas niejaki, że nim jesteś.

— Moja żona! odpowiedział poprawiając się na stolku i wychylił kieliszek. Oj, tato przewodziła nademną! gorzej od wszystkich ludzi, ca nademną przez całe życie przewodzili.

— Pocóż się było z nią żenić? rzekł kasztelan nalewając mu czwarty kieliszek.

— Ale, odpowiedział sięgając śmielej po niego — albo ja wiedział, jak i kiedym się ożenił? Ludziето zwyczajnie takie psoty mi robili, a zwłaszcza też ten nieboszczyk Srokosz. Co teżto był za skórka-na-bóty, proszę Jaśnie Wielmożnego Pana.

— Jakże się to mogło dziać, aby Pana kto mimo woli ożenił? zapytałem.

— E, przed laty to wszystko uchodziło. Kazali, to człowiek musiał. A potem, jak się tu taki chudy pacholek, jak ja, nie miał żenić z Panią Podstoliną, z panią tak bogatą, kiedy ona wyraźnie chciała człowieka za męża?

— Tak, tak, dodał kasztelan obracając się do mnie. Jak go Pan widzisz, był to niegdy

człowiek niebezpieczny dla kobiet, bardzo od nich lubiony i szczęśliwy w miłości.

— E zaś; odpowiedział Dodosiński; gdzie ja tam kiedy myślał o tém.

— Skromność, skromność, mój starosto, rzekł kasztelan nalewając kieliszek dla naszego bohatera. Bądź co bądź, powiedzno nam, jako było z Podstoliną?

— Jak było? Albo ja wiem. Oto oszukali ją zwyczajnie i mnie wciągnęli do tego, sam nie wiem jak. Pan wojewodzie było wesoły pan, który miał wiele pieniędzy do stracenia i lubił się bawić. Zachciało mu się bawić. Zachciało mu się żartów, dał mi pieniędzy, dał mi dworzan, dał mi piękną kolasę i kazał mi udawać pana.

— Wiesz co, starosto, to były dobre żarty, rzekł kasztelan.

— Ba, zapewne.... Teraz tak nikt z człowieka nie zażartuje. A wojewodzie dawszy mi raz pieniędzy miał prawo rozkazać, a ja musiałem go słuchać, bo inaczej to był gotów kazać człowieka rozciągnąć na kobiercu.

— Więc to z obawy, aby cię na kobiercu nie rozciągnęli, zalecałeś i ożeniłeś się z Podstoliną.

— Z razu robił człowiek wszystko dla tego, że mu tak kazali, a potem jak się człowiek wciągnął, to się też to podobało, i już nie trzeba było ani nakazywać, ani nawet namawiać.

— Ale nam przecież opowiedz porządnie twoje zaloty, mój starosto: jakieś zajeżdżał do Podstoliny, jakieś z nią polował. No wychył jeszcze jeden kieliszek i opowiedz nam wszystko!

Wypełnił rozkaz kasztelana, [stare lica jego pokryły się niezwykłym rumieńcem, większa śmiałość malowała się w wejrzeniu, a odwilżone winem usta weszły w ruch i wymownym go uczyniły.

— Więc tedy, kiedy sobie Państwo tego życzą, opowiem im, jak to było.

Otóż to ten skórka-na-bóty Srokosz, jak się namówił z Panem wodjewodzicem, tak potem udał, że jest moim dworzaninem, i chociaż ja niby miałem być jego panem, robił ze mną co chciał i mówił nie raz, że ja mu coś takiego zrobić kazałem, o czém mi się i nie śniło. I tak poszedł raz, w tém Grodnie, tam na Litwie, jakieśmy tam z wojewodzicem bawili, poszedł, mówię, do Pani Podstoliny, pokłonił jej się odemnie i oświadczył, iżbym chciał jej oddać moją attencyą. Ona też, licho wie dlaczego, odpowiedziała mu, że bardzoby rada była poznać bliżej swego wybawcę. Bo trzeba Państwu wiedzieć, że jej się raz noga z góry usunęła i że mi ni ztąd ni z owąd w ręce wpadła, lecąc nadół, gdzie ja stałem. Otóż tak byłem jej wybawcą, a ona chyba była oczarowana, że mnie nie poznała wtenczas, mnie, com u niej służył był dawniej za rękodajnego. Ale cóż było robić? Chciała, więc mnie przybrali w paradny żupan

i kontusz, pas dali złotem lity i kameryzowaną karabelę, i choć było blisko do niej, a człowiek całe życie piechotą chodził, kazali mi wsiąść do poszóstnej kolasy, u której się hajduków nawieszało, a Srokosz przy niej konno jechał, i tak mnie zawieźli do Podstoliny.

Tu dopiéro był strach na mnie i bięda wielka. Bo jakto u licha ciężkiego było udawać pana, kiedy człek był chudym pacholkiem? jak się zbliżyć, jak usiąść przy tej samej pani, u której się dawniej za drzwiami i za krzesłem stało? jak się komplementować do niej, kiedy się człowiek nie znał na komplementach? Ha, cóż robić! Kazali, więc trzeba było. Tak człowiek raz wlaźł do izby, to się już nie można było wycofać. A potem ten przeklęty Srokosz zawsze był tuż przy mnie i nie dałby mi być umknąć z placu, choć mnie do tego ochota brała. On mnie uczył, jak gadać, a kiedy mi się nie chciało kleść, sam gadał za mnie; kazał to stać, to siedzieć, to się kłaniać, to rękę pocałować; dosyć, że się to wszystko tak udało, iż Podstolina była kontenta, a ja się nieborak pociał ze strachu i tak się umęczył, gorzej jakbym cepami był młócił w stodole.

Drugi raz już mi było snadniej. Jakoś ta Podstolina umiała tak omamić człowieka, że nabrał śmiałości; bo te kobiety takie sztuki umieją, że co chcą, to dokażą z nami. Ha, cóż było robić? Byłem u niej raz, byłem drugi, byłem i trzeci, aż tu rozgłosili po mieście, że się Pan

Siński do Pani Podstoliny komplementuje. To była tak prawda, jak to, że ja byłem Sińskim; ale wszyscy tak mówili, więc trzeba było wierzyć. W kilkanaście dni po mojej pierwszej bytności u Podstoliny, przyszło do głowy Panu wojewodzicowi, abym ja wyprawił wielkie polowanie z myśliwskim śniadaniem dla Podstoliny, która bardzo lubiła polować. Ha, cóż było robić? Ja jak żyję na świecie, nie byłem myśliwym, ale kiedy chcą, pomyślałem sobie, to niechże będzie i polowanie, bo wiedziałem, że moja głowa w tém nie będzie i że oni sami wszystko wymyślą, ułożą i zapłacą.

Tak się też stało. Srokosz poszedł ode mnie do Podstoliny prosić ją na wielkie polowanie, które w przyległej kniei nad samym Niemnem położonej odbyć się miało. Wyznaczyli dzień i godzinę, naspędzali ludzi, koni i psów; wojewodzie z swoimi przyjaciółmi przyłączył się niby do mnie; zajechaliśmy w ogromnej czeredzie po Podstolinę, która tak, jak my, dosiadła konia i z rusznicą w ręku udała się z nami na polowanie.

Z razu było dużo hałasu po kniei; natrębywanie, wycie psów, okrzykiwanie się myśliwców, krzyki naszej hałastry i rzenie koni, wszystko to rozlegało się daleko i wypędzało zwierzynę z lasu, nimesmy do niego weszli. Ale boć też nie szło nikomu o zwierzynę ani o polowanie, tylko o zabawę; a nadewszystko o drwinki ze mnie i z Podstoliny, której musiałem

przedstawić wojewodzica i innych paniczów, jak moich przyjaciół, a ona rada była temu, że tacy panowie ze mną żyją, właśnie jakby to tak było.

Po godzinie krzyków i hałasów przypomnieli sobie przecież, że to trzeba zacząć polowanie, i rozstawili wszystkich na stanowiskach, kiedy już od dawna psy były puszczone. Mnie kazali towarzyszyć nieodstępnie Podstolinie i dlatego postawili mnie na jednym z nią stanowisku. Jak dziś pamiętam, żeśmy stali pod wielkim dębem nad łączką wkoło gęstym krzewem otoczoną, a wszyscy inni rozbiegli się niby po lesie; a ja dobrze widział, że wojewodzie i jego kompania ukryli się w krzakach, aby nas widzieli i drwinowali sobie z nas. Podstolina była tego dnia, jak na złość, bardzo łaskawa; raz wraz mi podawała rękę do pocałowania i moję ścisłała rękę, a ja za każdym razem, com się schylił do tego pocałowania, tom z oka poglądał wkoło na krzaki, czy który nie patrzy. Bo proszę Państwa, jak się tu było komplementować, kiedy człowiek wiedział, że na niego patrzają. A Podstolina nie domyślała się tego wcale i coraz to była łaskawszą, i Bóg wie nie co mi plotła, tak że mi się w głowie przewracało.

Na ostatek znudziła się stać pod drzewem, zaczęła narzekać, że ją nogi bołą, usiadła na murawie pod dębem i mnie przy sobie usiąść kazała. Ha! cóż było robić? Usiadłem, a tam któryś w krzakach parsechnął śmiechem, aż się Podstolina obejrzała i zapytała, coby to było?

Jać wiedział co, alem nie śmiał powiedzieć i odrzekłem. że nic, albo może jaki zwierz par-schnął w gęstwinie, i jak na złość zaspokoilem ją do tego stopnia, że mnie za rękę wzięła i ja-kos na mnie tak spojrzęła, jakto tylko kobiety spoglądać umieją. Oj, gorąco mi się zrobiło, bom wiedział, że wszyscy patrzą, i sam nie wie-działem co począć, kiedyć przecież, na moje szczęście, psisko jakieś natrafiło na zająca i na oko zławiać zaczęło, i któryś palnął i krzyknął: *Patrzaj!* Zerwała się podstolina i ja także i tak się przecie skończyło.

— Tak się nie skończyło, dodał kasztelan; to dopiero połowa wypadków owego dnia pamięt-nego. No wypijmy jeszcze po kieliszku, aby pokrzepić mowę i pamięć naszą. Wszak pra-wda? mój Dodosiński.

— Juści prawda, że wtenczas daleko jeszcze było do wieczora, odpowiedział Dodosiński po-dając kieliszek, a wypiwszy potem nalany, mó-wił tak dalej.

— Jak raz psy na zwierzynę natrafiły, tak się zaczęło pukanie do biednego zająca, i to w takięj bliskości od nas, iż podstolina mogła była poznać, żeśmy nie byli sami na naszym stano-wisku. Płoszone ze wszęch stron zajęczyisko nie widziało, gdzie się obrócić, i wypadło na łączkę, nad którą było nasze stanowisko. Pod-stolina palnęła do niego i czy go tam trafiła, czy téż który inny strzał go dokonał, dość, że poległ na łące po jęj wystrzale. Dopieroż ja z

całego gardła zacząłem wołać; Na, na! Ho, ho! a tu się cała czereda wysypała z za krzaków i zaczęła *Vivat* na cześć podstoliny wykrzykiwać za to, że tak dobrze strzela.

Trzebać było sprawić pogrzyb biednemu zajęcowi i wypić za zdrowie podstoliny. Ztąd wzięto asumpt do śniadania, które było zastawione o podał pod namiotem. Ale to było śniadanie nie lada, które się na kieliszku wódki i kawałku chleba z torby dobytego, tak jak zwykle u strzelca, nie kończyło. Zasiadli wszyscy do stołu, i jedli i pili jedno zdrowie po drugim, a chwalili potrawy i cukry, marcepany i wino, a do mnie wszystkie obracali pochwały niby, jako do gospodarza; a ja Bogu duszę winien o niczem nie wiedziałem, ale jadłem i piłem, bo mi smakowało, i mówiłem sobie: Niechże i tak będzie, kiedy chcą koniecznie. Ha, cóż było robić? Choćbym chciał był wyznać podstolinie, że ją oszukują, toby mi się to na nic nie było zdało; a potem miałbym być co słuchać od Srokosza, którego się bałem, jak diabła.

Pan wojewodzie kiedy pił, to pił dobrze, i wtenczas wszyscy zarówno z nim pić musieli. Dlatego przedłużyło się nasze śniadanie nad wszelką miarę i przy kolejnych kielichach zapomnieli myśliwi o polowaniu i tak się ochoczo pod namiotem bawili, że się słońce już ku zachodowi miało, a nikomu nie przyszło na myśl wrócić do łowów.

Przyznam się Państwu, że lubo i ja mogę wypić, jednakże w końcu i mnie zaszmeralo trochę w głowie, tak iż siedząc przy podstolinie nie obawiałem się już tyle, co z rana w lesie, wejścia tych paniczów, lubo oni daleko bliżej nas byli i nie z za krzaków na nas patrzeli. Ale też trzeba wiedzieć Panom, że oni w końcu śniadania już tylko jak przeze mgłę patrzeli i że mało mogli widzieć, chociaż z całej siły oczy otwierali.

Nakoniec sprzykrzyło się podstolinie przy stole; mówiąc, że jej duszno wyszła przed namiot, a ja za nią. Czas będzie wracać do Grodna, rzekła i kazała sobie podać konia, a dosiadłszy go dodała, obracając się do mnie: Spodziewam się, że mi Pan będziesz towarzyszył. Ha, cóż było robić? Wsiadłem i ja na konia, i to do tego nie na takiego, na jakim zwykle jeździłem, ale na jakiegoś waryata, którego mi w tym dniu dla większej parady dali, tak żem się ledwo mógł na nim utrzymać.

Kiedym ja się sadowił na nim, jak mogłem, podstolina ruszyła na swoim z kopyta, ale zamiast do Grodna, w przeciwną stronę, w las. Krzyczę za nią: Nie tędy Mościa Dobrodziejko! Eh, gdzie tam, nie słuchała mego napomnienia, a mój waryat koń darł się za jej koniem, rżał i spinał się, żem się ledwo utrzymał na siodle, a w końcu, kiedy nie pójdzie za tamtym koniem! A panowie, jeszcze mi dziś włosy na głowie powstają! Zapomniałem o Grodnie, o podstoli-

nie, o wojewodzicu i o całym świecie, tylkom myślał, jak się na tym waryacie utrzymać, i jak albo karku z niego nie skrócić albo głowy na gałęzi nie zostawić. Porwałem go oburącz za grzywę, zmrużyłem oczy, przychyliłem się do szyi jego i leciałem za podstoliną jak szalony, tuż dusza na ramieniu. Przecież po pewnej chwili stanął raptem, ażem ledwo przez łeb mu nie przeleciał: ale bo i podstolina była zatrzymała konia swego i musiała stanąć, bo przepaść do głębokiego parowu była przed nią. Ani myśleć o tem, ażeby na koniu można było zjechać do dna parowu. Zesiadła więc, a ja jej mówię dopiero: Ale Mościa Dobrodziejko, nie tędy droga do Grodna. E, gdzie tam, ani chciała słuchać i tylko mi odpowiedziała, że zna lepiej ode mnie te okolice.

— Ale jakże będzie z tą górą? jak się tu spuścić do parowu? jak się przedostać na tamtą stronę? Ba! albo ona na co zważała! Ja w życiu mojem tak odważnej kobiety nie widziałem. Oddaje konia masztalerzowi, który za nami jechał, każe mu odebrać mojego, oba na drogę do miasta wyprowadzić i tam na nas czekać, a sama podawszy mi rękę wciąga mnie poprostu do parowu.

— Wystawcie sobie, moi Panowie, coto był za strach dla mnie! bo góra była spadzista, a tu nietylko że wieczór zapadał, ale jeszcze jak na złość zachmurzyło się całe niebo, wichur powstał, żem ledwo czapkę mógł utrzymać na głowie, i oczywiście deszcz ulewny wisiał nad

nami. Ha! cóż było robić? Ona szła, trzeba było iść za nią. Postępowaliśmy z wolna z kamienia na kamień, tu i owdzie ziemia usuwała się pod nogami; przedzieraliśmy się przez krzaki i chrusty i już byliśmy blisko samego dna parowu a tu kiedy nie łyśnie, kiedy nie zagrzmi, aż mi się mroczki w oczach zrobiły i w obu uszach zaszumiało. *Słowo stało się!* krzyknąłem, a ona na to: Cóżto, boisz się? To łyśnięcie było nam potrzebne, bo oświeciło dalszą drogę naszą. Piękną drogę, proszę Panów! Byliśmy między dwiema górami, w okropnym wąwozie; z obu stron białe urwiska u wierzchu i w przerwach gęstym drzewem pokryte; na samym dnie niby ścieżka nad jakąś wodą, która między kamieniami płynęła. Ta ścieżka kręto się wiała w parowie i prowadziła gdzieś w las, zapewne na lepsze pastwisko: bo to nie było nic innego, jak stegna bydła tamtędy na paszę przepędzanego. A podstolina szła żwawo naprzód; właśnie jakby wiedziała, dokąd nas to doprowadzi, i mocno mnie trzymała za rękę, zapewne żebym się jej nie wymknął i nie drapnął. Byłcibym ja tak zrobił, ale dokąd tu było uciekać, kiedy człowiek nie wiedział, gdzie jest i kędy się obrócić.

W tém kiedy nie lunie deszcz, ale tak jak z cebra. Tego tylko jeszcze brakowało, pomyślałem sobie. Idźmy prędzej! rzekła podstolina. Ale dokąd? Na to mi nic nie odpowiedziała, tylko biegła coraz żywiej mówiąc: że nam się trzeba

schronić przed falą, tak właśnie, jakby wiedziała, że będziemy mieli gdzie się schronić. Lysnęło się jeszcze gorzej jak pierwszy raz, a przy tém rozjaśnieniu spostrzegliśmy, żeśmy wyszli na jakieś otwarte miejsce. Była to spora łączka między górami, ale drogi żadnej. Trzeci raz się lysnęło w tém miejscu, a podstolina rzuciła okiem na bok i rzekła! Oto schronienie dla nas! Był pod górą w krzakach jakiś szałas, zapewne przez pastuchów wystawiony, gałęziami i darnią pokryty: poszła ku niemu podstolina i mnie pociągnęła za sobą... Szukaliśmy schronienia, bo deszcz lał ogromny. Ha! cóż było robić!

Speluncam Dido dux et Trojanus eamdem Deveniunt,

rzekł przerywając kasztelan i dodał obracając się do mnie: Pan się domyślasz, że ona była Dydoną a on Eneaszem. Łatwo się także domyśleć, co dalej nastąpiło, i że sława stugębna, nie ta, która bohaterów opiewa, ale ta, co plotki roznosi, po całym Grodnie wypadki polowania i nader spóźniony powrot Dydony i Eneasza rozgłosiła: że podstolina nie chcąc doczekać się losu tej nieszczęśliwej poprzedniczki swojej, ani wystawić się na przekąsy plotkonośnej famy, kazała wywieźć z miasta naszego bohatera, i sama za nim pospieszywszy w pierwszym kościele parafialnym ślubnym związkim z nim się połączyła. Lecz gdy niestety! później w mężu swoim dawnego sługę swego poznała, potrafiła z łatwością wystarać się o unieważnienie swego małżeń-

stwa *propter errorem*, i po nader krótkiem pozyciu odprawiła tego męża jak służącego, tak dalece, iż ów niegdy przez nią do starościńskiej godności wyniesiony Pan Siński między nami do rodzinnego nazwiska i wrodzonej sobie nicości powrócił.

Ale na pochwałę jego dodać to muszę, że dobre serce i przychylność jego do dawnego pana stały się pierwszą przyczyną utraty żony, majątku i znaczenia.

— Opowiedz nam to jeszcze, mój Dodosiński, jak to było, podczas owego spotkania z Wacławem.

— Ha! cóż miało być? zwyczajnie musiało się to raz wydać, że ja byłem ja, a nie kto inny. Bo kiedyć podstolina z Litwy wróciła do Korony i do swoich dóbr zajechała, toć mnie oczywiście między moich zawiozła, gdzie mnie wszyscy znali i gdzie się nie mogłem zapiierać, że byłem mną samym.

— Oczywiście, oczywiście, odpowiedział kasztelan. Ale to podobno najpierw się wydało przez starościca Wacława?

— A taki tak. Oto jechaliśmy sobie z Litwy z tą pod ów czas niby żoną moją. Siedziałem przy niej w pojeździe jak truśka, i długo pamiętałem na to, że nie trzeba się z niczém wygadać, ani wydać. Ale kiedyśmy wjechali w tetu strony, gdym zobaczył wieże Łowicza i całą tę okolicę, w której się urodziłem i wzrosłem na nogi, tak mi się miło zmbiło na sercu, tak mi

się dusza radowała, zem dłużej spokojnie w pojeździe usiedzieć nie mógł; aż mi się podstolina ustawicznie pytała: coby mi było? i w końcu nawet: czym nie zwaryował przypadkiem?

— Gdyśmy minęli Łowicz, przejeżdżamy drogą, ale gdzie? oto koło fortuny starego Dulskiego, tego, com się już miał z jego córką Anielą zenić. Nad samą drogą spostrzegam jakiegoś młodego szlachcica idącego wesoło za pługiem, przez dobrą parę wołów ciągnionym. Wychyłam się z kolasy, patrzę . . . i kogoż poznaję? oto Pana Wacława, mojego dobrego paniczka. Ono był, on sam, on, pan i staroście orał spokojnie i wesoło ziemię na wiano z piękną Anielą wziętą, bo po ojcu swoim nie nie był odziedziczył, nieborak. A! Panowie moi, na taki widok nie mogłem dłużej dosiedzieć w pojeździe. Stój! zawołałem na woźnicę, wyskoczyłem z kolasy, pobiegłem do pana starościca i plackiem mu do nóg upadłem; boć to był mój pan, mój dobrodziej, przy którym się sam wychowałem. Ale za to gdym się podniósł, nie było już pojazdu mojej żony na drodze; a ja spędziwszy kilka godzin szczęśliwych u pana starościca i u Anieli poszedłem piechotą do domu pani podstoliny, i niedługo potem piechotą z niego wyszedłem.

K o n i e c .

W drukarni M. Frydlendera w Wrocławiu.



BIBLIOTEKA PAN

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 25-68-82

F

3058/4